



CZESŁAW CZERNIAWSKI

JAK TYLKO WRÓCI Z MORZA



CZESŁAW CZERNIAWSKI

**JAK TYLKO
WRÓCI
Z MORZA**



**WYDAWNICTWO MINISTERSTWA
OBRONY NARODOWEJ**

Okladkę projektował

WITOLD CHMIELEWSKI

Redaktor

WANDA STEFANOWSKA

Redaktor techniczny

RENATA WOJCIECHOWSKA

Pięć tysięcy osiemset sześćdziesiąta dziewiąta publikacja

Wydawnictwa MON

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej

Warszawa 1976 r.

Wydanie I

Nakład 120 000+ 350 egz

Objętość 6,81 ark, wyd., 5,76 ark, druk.

Papier druk, sat. VII kl. 69 g, z roli 63 cm

z Myszkowskich Zakładów Papierniczych

Oddano do składu 29.06.1976 r

Druk ukończono w październiku 1976 r

w Wojskowych Zakładach Graficznych w Warszawie.

Zam 616

z dnia 1.07.76 r.

Cena zł13.-

J-120

1.

Meldunek Komendy Dzielnicowej MO - Śródmieście dotyczący zaginięcia Stefanii Pawelec, przekazany zgodnie z podziałem kompetencji do Wydziału Służby Kryminalnej Komendy Miejskiej, znalazł się na biurku kapitana Dolińskiego pewnego styczniowego dnia.

Dzień ten, jak to się często w Szczecinie o tej porze roku zdarza, był bardziej jesienny, listopadowy niż zimowy. Od wczesnego rana nad całym miastem wisiała gęsta biaława mgła, którą daremnie usiłowały przebić żółtawe, grzęznące w niej jak w wacie, światła samochodów i tramwajów sunących wolno i ostrzegawczo podzwaniających. Od niedalekiego portu, nawet przez zamknięte szczelnie okna pokoju, wdierało się gęste pobekiwanie holowników i załężnione, pełne bezradności zawrodoenie statków.

W taki dzień... – kapitan Doliński powiesił płaszcz i czapkę na wieszaku, zapiął pas na brzuchu, który ledwie mu się mieścił pod mundurem, i po drodze do swego ulubionego, szerokiego krzesła z wygodnym oparciem, zatrzymał się

przy oknie. – Taki dzień gdzieś w dalekiej Anglii mordercy wybierają dla zadania śmierci swoim ofiarom, w taki dzień rabusie dokonują napadów, w ogóle w taki dzień dzieje się tam masa zbrodni i różnych makabrycznych historii. Przy najmniej tak to wynika z tych wszystkich kryminalnych powieści, jakie przeczytałem.

Uśmiechnął się, bo rozbawił go ten naiwny schemat tak często nadużywany przez wielu autorów. No tak... Szeroką i pulchną dłonią poklepał się leciutko po brzuchu. Czuł jeszcze w żołądku obfite i smakowite śniadanie, które spożył w domu. I to napełniało go zadowoleniem i dobrym humorem.

Ten dobry humor poprawił mu się jeszcze, gdy nawiedziła go myśl, zresztą nienowa, gdyż pojawiająca się od lat przy takich okazjach. Myśl o tym, że mądrze uczynił podejmując pracę w służbie kryminalnej, a nie w „drogówce”. A dosłownie na siłę ciągnął go tam stary i dobry kumpel jeszcze z „woja”. „To nic, że nie jesteś szoferak – tłumaczył. – Pójdiesz do szkoły i zrobią z ciebie fachmana całą gębą. A świat się motoryzuje i nasza służba...”

Doliński machał wtedy niecierpliwie ręką, jakby odganiał uprzykrzoną muchę.

Bo samochodów nie znosił. Nie znosił ich od tamtych czasów, gdy już po zakończeniu wojny musieli tłuc się przez kilka lat po różnych wertepach w rozlicznych akcjach przeciwka bandom grasującym na terenie kraju. Od tego czasu pozostał kapitanowi Dolińskiemu głęboko zakorzeniony wstręt do samochodów i do wszelkiej jazdy, choćby

nawet wyłącznie po ulicach miasta. Natomiast bardzo lubił piesze spacery i spokojną pracę za swoim biurkiem, w dobrze ogrzonym pokoju.

W całej komendzie był doskonale znany z powtarzanego z uporem i przy każdej okazji twierdzenia, że dochodzenie można doskonale prowadzić nie ruszając się spoza biurka, jeżeli tylko ma się do dyspozycji telefon oraz zespół dobrze wyszkolonych i sprawnie działających ludzi.

– Trzeba tylko umiejętnie korzystać z tego wynalazku i potrafić kierować zespołem – dowodził w gronie kolegów.
– Wtedy zdobędzie się wszystkie potrzebne do rozwiązania sprawy informacje. Komputer – dodawał zwykle – także nie biega, nie rusza się z miejsca i sam nie zdobywa informacji. On tylko robi z nich właściwy użytek i wyciąga logiczne wnioski.

Dlatego też wielu pracowników komendy przezywało go po cichu „Komputerem”. A on wiedział o tym i wcale nie miał im tego za złe.

Przeciwnie. Był nawet bardzo zadowolony.

Tego mglistego, styczniowego dnia kapitan Doliński odszedł od okna, z sapnięciem ulgi umieścił na krześle swoje dość ociężałe, mimo zamięłowania do pieszych spacerów, ciało i z lubością zlustrował lśniący czystością blat biurka, na którym leżała szara, tekturowa teczka z przygotowanymi dla niego papierami.

Poza nią i aparatem telefonicznym nie było tam nic więcej, nawet popielniczki, gdyż kapitan Doliński sam nie palił i nikomu nie pozwalał palić w swoim pokoju.

Posiedział tak chwilę z założonymi na brzuchu rękoma, sycąc się miłym ciepłem sączącym się z kaloryfera, idealnym porządkiem na biurku, ciszą, a przede wszystkim przyjemną świadomością, że w tak paskudną pogodę nie musi ganiać po mieście w jakimś tam radiowozie i łamać sobie głowę nad rozwiązywaniem najdzikszych łamigłówek, jakie tylko mogą powstać ze skrzyżowania nieostrożnych kierowców i gapiowatych przechodniów.

Bo i u nas w takim tumanie – pomyślał z pewnym odzieniem rozgoryczenia – ludzie się zabijają. Tyle że w wypadkach samochodowych. A przyczyną tego jest przerażająca głupota, jeszcze bardziej przerażające lekceważenie wszelkich przepisów albo zupełna ich nieznajomość ze strony pieszych i kierowców. Ech, do diabła ciężkiego – zreflektował się z gniewem. Co mnie to wszystko obchodzi? Niech się tym „drogówka” martwi.

Aby odegnąć od siebie wszelkie podobne, irytujące, bo związane z tymi piekielnymi machinami, jakimi są samochody, myśli, sięgnął po szarą teczkę i niespiesznie, pedantycznymi ruchami palców rozwiązał czarną tasiemkę.

Na samym wierzchu leżał właśnie ów meldunek dotyczący zaginięcia Stefanii Pawelec.

Kapitan Doliński przeczytał go uważnie i odłożył na bok, na szkło przykrywające blat biurka. Potem tak samo uważnie przejrzał pozostałe pisma, na niektórych czyniąc ołówkiem wydobyтым z szuflady różne adnotacje przeznaczone dla współpracowników. Na koniec zamknął teczkę, starannie zawiązał tasiemkę i sięgnął po meldunek Komendy

Dzielnicowej Śródmieście.

Położył arkusik białego, zapisanego papieru na szarej okładce teczki i przeczytał go jeszcze raz, wolno, systematycznie, rozważając każde niemal słowo.

Kiedy skończył, przysunął ku sobie aparat telefoniczny i niespiesznymi, rozważnymi ruchami wskazującego palca wykręcił numer.

– Śródmieście? Dajcie mi... – rzucił okiem na podpis umieszczony pod meldunkiem. – Aha, to wy? Pięknie. A więc słuchajcie...

Rozmowa z funkcjonariuszem, który sporządził meldunek, nie trwała długo. Kapitan Doliński podziękował za informacje, których mu tamten udzielił, odłożył słuchawkę i pchnął aparat na poprzednie miejsce na skraju biurka. Posał chwilę spoglądając ku oknu, za którym ciągle jeszcze trwała szarawa mgła, przesłaniająca cały świat, westchnął, splótł dłonie na okrągłości brzucha i zapadł w głęboką zadumę.

Komuś, kto nie znał zbyt dobrze kapitana Dolińskiego, mogłoby się wydawać, że po prostu uległ on nastrojowi dnia i pogrążył się w drzemce, w błogim rozleniwieniu, zapominając o służbowych obowiązkach.

Sierżant Antosiak zbyt długo jednak pracował ze swoim szefem i zbyt dobrze go znał, aby ulec takim złudzeniom. On doskonale wiedział, co taki stan przełożonego oznacza. I dlatego, gdy wszedł do pokoju, natychmiast pospieszył z pytaniem:

– Stało się coś, kapitanie?

Kapitan Doliński uniósł głowę, przeciągnął się, szeroko prostując ramiona, aż mu trzasnęło gdzieś w stawach, i wyciągnął nogi pod trochę przyciasnym dla niego biurkiem.

– Przeczytajcie to.

Sierżant Antosiak wziął kartkę, którą kapitan wskazał mu palcem, i zaraz położył ją w tym samym miejscu, pilnie uważając, aby znalazła się na samym środku szarej okładki tekturowej teczki. Bowiem kapitan Doliński niczego chyba nie znosił tak bardzo jak wszelkiego bałaganu i niczego tak nie uwielbiał jak systematyczności i geometrycznego wprost ładu.

– I co?

– Już to czytałem.

– Tak? To dlaczego pytacie, czy się coś stało?

– No... – sierżant Antosiak wahał się chwilkę nad odpowiedzią. Nie wiedział jeszcze, czy szef jest tego dnia w nastroju żartobliwym, czy zgryźliwym, czy ma ochotę na filozoficzne pogaduszki, czy raczej jest nastawiony na matematyczną ścisłość i logikę wypowiedzi i rozumowania. – Takich i podobnych meldunków przychodzi do nas masa – mówił z wahaniem. – Sami to wiecie, kapitanie. I potem zwykle okazuje się, że gość zapił się u kumpli albo w najgorszym wypadku uciekł z domu do kochanki.

– Oj, Antosiak, Antosiak – pokiwał głową kapitan Doliński. A w geście tym i głosie było najwyższej miary politowanie.

Sierżant Antosiak nie wiedział jeszcze, czy jest to poślizgnięcie lub nawet żartobliwe politowanie człowieka

prowadzącego zwykłą pogaduszkę, w której uważa się za stronę lepiej zorientowaną, czy jest to politowanie zwierzchnika, kryjące w sobie ostrze nagany. Dlatego też na wszelki wypadek postanowił wzmocnić swoje stwierdzenie dodatkowymi argumentami:

– Praktyka wykazuje, że w tego rodzaju wypadkach – tu wskazał wzrokiem leżący na biurku meldunek – co najmniej dziewięćdziesiąt parę procent ma ścisły związek z alkoholem lub łóżkiem. Takie jest życie, kapitanie.

– A tych kilka procent, które wam pozostały?

– No cóż... W nich często kryją się prawdziwe ludzkie tragedie albo ponure zbrodnie.

– Ano właśnie. – Kapitan Doliński wziął do ręki zapisany arkusik papieru. – Stefania Pawelec – przeczytał głośno. – Wyszła z domu i dotychczas nie wróciła.

– Na pewno za dzień lub dwa znajdzie się.

Kapitan oderwał spojrzenie od kartki i utkwiał je w twarzy sierżanta.

– Podobno czytaliście ten meldunek?

– Tak jest, obywatelu kapitanie.

Sierżant Antosiak wyczuł w głosie przełożonego coś, co mogło zwiastować ostry, wojskowy opeer. Taki, jaki Doliński lubił stosować wobec ludzi, którym zdarzyło się coś przegapić, czegoś zapomnieć lub coś sknocić. To, co zabrzmiało w pytaniu kapitana, było jeszcze ledwo uchwytnie, ale przypominało sierżantowi owe dalekie, przytłumione pomruki zwiastujące zbliżającą się burzę, która grozi ogłuszającymi grzmotami i oślepiającymi piorunami. I dlatego

właśnie, na wszelki wypadek, przyjął ton i postawę żołnierza, zdającego raport oficerowi. Wiedział doskonale, że Doliński, jako były wojskowy, bardzo to lubi, i miał nadzieję, że w ten sposób rozładuje jego zły humor.

I nie omylił się. Następne pytanie zostało wypowiedziane znacznie łagodniejszym tonem.

– A więc wiecie, kiedy ta kobieta wyszła z domu? – A kiedy sierżant milczał, kapitan odpowiedział za niego: – Prawie dwa tygodnie temu. Rozumiecie to? Prawie dwa tygodnie.

– Co takiego?

Sierżant Antosiak widział wprawdzie meldunek, ale nie przeczytał go zbyt uważnie. I dlatego dopiero teraz na jego twarzy ukazało się żywsze zainteresowanie jego treścią.

– Właśnie to. – Na szczęście kapitan Doliński nie zwrócił uwagi na owo zdziwienie sierżanta, które zadawało kłam jego twierdzeniu, że meldunek przeczytał. – Prawie dwa tygodnie temu. A dokładnie dwanaście dni.

– To naprawdę dziwne, że zgłoszono o tym tak późno.

– Dopiero teraz zwróciliście na to uwagę? – Tym razem w głosie kapitana była miazdząca ironia. – A wiecie, kto poinformował nas o fakcie zaginięcia?

Sierżant odzyskał pewność siebie.

– Nie – odpowiedział z całym spokojem.

Wchodził już na pewny grunt i nie obawiał się żadnego zaskoczenia ze strony przełożonego. – W meldunku nic o tym nie ma.

– Tak – zgodził się kapitan Doliński. – A więc... O tym, że Stefania Pawelec wyszła jedenaście dni temu z domu i dotychczas nie wróciła, zgłosiły jej dzieci. Syn i córka. Córka Alina, lat szesnaście, i syn Bolesław, lat osiemnaście.

- Pewnie zaginiona nie miała męża. Jakaś wdowa?
- Nie. Mąż żyje.
- A więc rozwiedziona?
- Też nie. Mieszkają razem. I co wy na to, sierzancie?
- W takim razie...

Sierżant Antosiak, ośmielony niemal konfidencjonalnym tonem przełożonego, przysunął sobie krzesło i usiadł. Pod wrażeniem informacji kapitana Dolińskiego zapomniał się do tego stopnia, że wyciągnął z kieszeni paczuszkę „sportów” i nawet wybierał z niej jednego papierosa, gdy osadziło go groźne chrząknięcie spoza biurka.

– O... – Sierżant oprzytomniał i czym prędzej schował papierosy. – Przepraszam.

– Wy, sierzancie – prychnął kapitan Doliński – mniej przepraszajcie, a bardziej panujcie nad sobą.

– Tak jest, oby... – sierżant już się podrywał z krzesła, ale powstrzymał go ruch dłoni kapitana.

– Dajcie z tym spokój. I do rzeczy.

– Tak, kapitanie. Słucham.

– A więc... Musicie jeszcze wiedzieć, że Pawelcowie mają trzecie dziecko. Jest to dziewczynka, ma lat trzynaście.

– Tak.

– Ci, którzy zjawili się wczoraj w Komendzie Dzielnicy, oświadczyli, że matka wyszła z domu przed dziesięcioma dniami, koło południa. Dotychczas nie wróciła i nie przesłała żadnej wiadomości.

– Czy powiedzieli, dlaczego tak długo zwlekali?

– Nie. Tam, w Komendzie Dzielnicy, nikomu jakoś nie przyszło do głowy, aby się tym zainteresować. Wystarczyło im oświadczenie, że rodzina prowadziła poszukiwania na własną rękę i dopiero, gdy one nie dały rezultatu...

Kapitan Doliński nie dokończył.

Zadziwiająco szybkim, jak na jego tuszę, ruchem otworzył boczną szufladę biurka, wyjął z niej kawałek papieru i ołówek i położył to wszystko przed sierżantem.

– Zapiszcie sobie – rzucił tonem służbowego polecenia. – Pojedźcie do mieszkania Pawelców. Ulica Bolesława Śmiałego. Zbierzcie dokładne informacje o całej rodzinie. A przede wszystkim postarajcie się dowiedzieć, dlaczego tak długo zwlekali ze zgłoszeniem się na milicję. Wyniuńcie, co się za tym kryje. To może być bardzo ważne i najbardziej mnie w tej całej historii intryguje. Zapisaliście?

– Tak jest – sierżant poderwał się z krzesła.

– To działajcie. O dwunastej chcę was tu widzieć z powrotem. Jasne?

– Tak jest!

Sierżant Antosiak, unosząc w dłoni kartkę papieru, pomaszzerował do drzwi, ale na środku pokoju zatrzymał go ostry głos kapitana:

– Stój!

- Obywatel kapitan chciał jeszcze coś...
- Nie. Ołówek!
- O, przepraszam.

Sierżant Antosiak zawrócił, aby położyć na biurku ołówek, który w pośpiechu zabrał wraz z notatkami.

A kiedy tyczkowata, pochylona nieco ku przodowi, postać sierżanta zniknęła za drzwiami, kapitan Doliński splótł ręce na brzuchu, opuścił głowę opierając się podbródkiem o pierś i popadł w zadumę.

Była to zaduma pełna niespokojnych myśli, pełna złych przeczuć co do losu zaginionej Stefanii Pawelec. I nie wynikały one z żadnych metafizycznych przesłanek, lecz po prostu z długoletniego doświadczenia człowieka parającego się kryminalistyką, z jego doskonałej znajomości najciemniejszych zakamarków ludzkiej duszy.

2.

W wyniku tych rozmyślań kapitan Doliński sięgnął po aparat telefoniczny, przysunął go ku sobie, szybko wykręcił numer i postukując niecierpliwie palcami o blat biurka czekał, aż odezwie się w słuchawce znajomy głos.

– Cześć – rzucił pospiesznie. – Mówi Doliński. Słuchaj, kochany, przyślij mi wszystkie, jakie masz, meldunki o śmiertelnych wypadkach, o znalezionych ciałach... Nie, nie. Mężczyźni odpadają. Chodzi o kobietę. Nie, kochany, starszą. Tak, koło pięćdziesiątki... Rysopis? Nie. Jeszcze nie mam. Mogę ci podać nazwisko. Notujesz? Stefania Pawelec...

Zapisałeś? Pamiętaj o tym także przez kilka najbliższych dni. Aż odwołam, dobra? No, to cześć.

Mniej więcej w godzinę po tym telefonie wrócił sierżant Antosiak.

– I co ustaliliście?

Pytanie to kapitan Doliński wyrzucił z siebie w taki sposób, jak gdyby oczekiwał w odpowiedzi informacji, że sierżant zastał zaginioną w domu, cieszącą się najlepszym zdrowiem, i że wszystko jest już w porządku.

Rozczarował się jednak.

– Niewiele, kapitanie – usłyszał w odpowiedzi.

Głos sierżanta nie brzmiał zbyt pewnie.

Kapitan Doliński bardzo nie lubił tego rodzaju odpowiedzi i wszyscy, którzy kiedykolwiek z nim współpracowali, doskonale o tym wiedzieli. A chyba najlepiej wiedział o tym sierżant Antosiak, jako że niejedną już raz musiał wysłuchać wielu przykrych uwag syjących się z ust rozgniewanego kapitana.

– To znaczy, co? – Tym razem w głosie szefa wyczuł wyłącznie zniecierpliwienie. – Konkretnie?

– Konkretnie, kapitanie... – Sierżant Antosiak sięgnął do górnej kieszonki mundurowej bluzy po kartkę papieru. Znał bowiem słabość swego przełożonego do wszelkich zapisków, notatek, meldunków i protokołów i miał nadzieję, że już sam widok białego arkusika wpłynie dodatnio na humor kapitana. – A więc konkretnie...

– Czekajcie! – Kapitan Doliński pochylił się nad biurkiem i pociągnął nosem. – Wracając z miasta, zaglądaliście

do bufetu?

– Ja... – Sierżant wahał się chwilę. – Tak, wpadłem na piwo. – Wybąkał w końcu.

– A co tam jest do jedzenia?

– Są flaczki, kapitanie.

Doliński mimo woli przesunął językiem po wargach.

Już odsunął krzesło od biurka, lecz coś sobie jeszcze przypomniał.

– Siadajcie, Antosiak! – Sięgnął do szuflady po papier. – Macie ołówki?

– Mam długopis.

Kapitan Doliński położył na biurku kilka arkusików papieru.

– Idę do bufetu – powiedział. – A wy siadajcie tu i zróbcie dokładną notatkę. Dokładną – podkreślił. – A potem ściągniecie plutonowego Adamka. No, do roboty.

Nie danym jednak było kapitanowi Dolińskiemu delektować się spokojnie flaczkami i, oczywiście, piwem, doskonałym eksportowym szczecińskim „Baltic Beer”. Przeszkodził mu w tym telefon.

Znaleziono ciało Stefanii Pawelec.

Kapitan Doliński w najwyższym pośpiechu skończył posiłek, zostawił na stoliku nie dopitą do końca szklankę z piwem i popędził na górę do swego pokoju, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Bo jednak Antoni Doliński, o czym wiedziało tylko niewielu jego najbliższych współpracowników, jeżeli tylko zachodziła tego potrzeba, potrafił pomimo swojej otyłości

poruszać się niezwykle szybko i działać bardzo energicznie.

W pokoju czekał już na niego kolega, szef grupy operacyjnej.

Na biurku leżały przedmioty znalezione w pobliżu zwłok: duża, czarna torebka wykonana ze sztucznego tworzywa imitującego skórę, biała, wełniana chustka na głowę, kilka motków niebieskiej włóczki, dwa damskie sweterki typu golf pochodzenia zagranicznego, dowód osobisty, bilet tramwajowy złożony na pół, brunatny kartonik biletu kolejowego oraz kilkanaście sztuk bilonu.

Kapitan Doliński stał dłuższą chwilę obok biurka, wpatrując się w tę wystawę. Oddychał ciężko. W końcu opadł z ulgą na swoje wygodne krzesło.

– To wszystko? – spytał, czyniąc ruch dłonią ponad biurkiem.

– Wszystko, co znaleźliśmy – odpowiedział kolega. – Chcesz to obejrzeć?

– Nie. Później. Teraz gadaj, tylko... – Kapitan poparł swoje słowa pełnym surowości spojrzeniem wymierzonym wprost w oczy tamtego. – Tylko tak, wiesz, dokładnie. A przede wszystkim najważniejsze. Gdzie to było?

– Ciało znalezione na dawnym cmentarzu przy ulicy Słowiczej.

– Słowicza? Gdzie to jest?

– Dzielnica Żelechowa.

– Żelechowa... – Kapitan Doliński starał się przypomnieć sobie topografię miasta i usytuować w odpowiednim miejscu tę odległą i ludziom zamieszkałym w centrum

zupełnie nie znaną dzielnicę. – Dziwne. To tak daleko od miejsca jej zamieszkania.

– To prawda.

– Co ją tam zaniósło?

– Myśmy także zastanawiali się nad tym. Nic jednak mądrego nie wymyśliliśmy.

– A potraficie coś mądrego wymyślić? – Kapitan Doliński wykorzystał okazję do złośliwego przytyku. – Zawsze mi się zdawało, że wy jesteście przede wszystkim od zbierania faktów, dowodów rzeczowych i tak dalej. A od myślenia...

– Od myślenia, oczywiście, jesteś ty – wpadł mu w słowo kolega. I zaraz dorzucił rewanżując się za złośliwość kapitana: – Przynajmniej tak ci się zdaje.

– Dobrze już. – Doliński podniósł ręce do góry, co oznaczało, że się poddaje. – Dajmy temu spokój. Kto znalazł zwłoki?

– Jakiś mężczyzna.

– Co to znaczy? – Gniewne parsknięcie. – Nikt się nim nie zainteresował? Nie spisano personaliów? Nie przesłuchano?

– Nie unoś się, człowieku. Po prostu nikt go nie widział.

– Co to znaczy? – powtórzył kapitan.

– Po prostu jakiś mężczyzna zadzwonił pod zero-siedem i przekazał wiadomość, że przechodząc przez dawny, nieczynny już od lat, cmentarz na Żelechowie, natrafił na ciało kobiety. Dzwonił z najbliższego automatu, ale nie

czekał na przyjazd radiowozu. Sądzę jednak, że to nie ma żadnego znaczenia. Po prostu przypadkowy przechodzień. Wielu ludzi unika kontaktów z milicją, zwłaszcza przy takich okazjach. Nikt nie lubi, aby go ciągnano na przesłuchania lub na świadka do sądu.

– Diabli wiedzą. – Kapitan Doliński nie był zadowolony z tej wątpliwej pociechy. – Nigdy nic nie wiadomo. Ja wolę znać każdy, pozornie nawet nieważny, szczególnie związany ze sprawą, którą prowadzę.

– Rozumiem cię, ale... – Tamten rozłożył ręce w gąście oznaczającym absolutną bezradność. – Nic na to nie poradzę.

– Dobra, już. – Machnął ręką Doliński. – Co dalej?

– Jak tylko meldunek z radiowozu dotarł do nas, pojechałem na miejsce z grupą operacyjną i lekarzem. Stwierdziliśmy, że śmierć nastąpiła na skutek uduszenia. Użyto prawdopodobnie chustki z wełnianej włóczki, należącej do zamordowanej. O... – szef grupy operacyjnej wskazał palcem – tej właśnie.

– Gdzie ją znaleźliście?

– Była wciśnięta do torby. Prawdopodobnie w pośpiechu, bo róg chustki wystawał na wierzch, a błyskawiczny zamek nie został dociągnięty do końca.

– Czy przed twoim przybyciem nikt niczego nie ruszał?

– Załoga radiowozu na pewno nie. Sprawdziałem to. Tamten mężczyzna chyba także nie. Wszystko sprawiało wrażenie, że zastaliśmy stan rzeczy sprzed dwóch tygodni.

Bo śmierć tej kobiety musiała nastąpić właśnie około dwóch tygodni temu. Cholera... – Szef, grupy operacyjnej wstrząsnął się mimo woli. – Całe szczęście, że mamy zimę. Wyobrażasz sobie, jak by te zwłoki wyglądały latem?

– Nic sobie nie wyobrażam, a gdyby nawet, to i tak nic by się nie zmieniło. Mnie w tej chwili interesuje wyłącznie to, co zdołaliście ustalić.

– Niech ci będzie. – Kolega sięgnął do kieszeni po notatnik. – A więc... Ciało leżało w odległości kilku kroków od ścieżki wydeptanej przez trawnik, w kępie dość gęstych zarośli. Oględziny wykazały, że od płaszcza zostały obrwane guziki... dokładnie trzy. To, a także ślady zadrapań na dłoniach i twarzy, wskazuje, że zmarła musiała się bronić rozpaczliwie. Ale... – Tamten uniósł wzrok znad kartek notesu. – I to jest zastanawiające... W pobliżu miejsca, w którym leżało ciało, nie odkryliśmy żadnych śladów walki.

– A krzaki? – rzucił kapitan Doliński.

– Jedna czy dwie gałązki zostały ułamane, ale to przecież za mało na taką szamotaninę, jaka musiała się tam odbyć.

– A śnieg? Jest przecież śnieg.

– Jest. Jednak i na nim nie znaleźliśmy właściwie żadnych śladów.

– Co masz na myśli?

– Nie było żadnych śladów, które mogłyby się nam przydać. Ani jednego odcisku stopy...

– Więc co? – zdenerwował się Doliński. – Z nieba sfrunęło tam ciało tej kobiety?

– Jasne, że nie... Były tam ślady, śnieg był zdeptany na

trasie od ścieżki do zarośli i między nimi. Jednak nie w taki sposób, aby to wskazywało, że odbyła się tam walka na śmierć i życie. Poza tym ślady te zostały zatarte, prawdopodobnie za pomocą gałęzi ułamanej z pobliskiego drzewa. Dzięki temu właśnie żaden ślad nie jest tak wyraźny, by można go było utrwalić w odlewie lub w jakikolwiek inny sposób. Nawet na zdjęciach widać jedynie pognieciony, przeorany śnieg. Poza jednym tylko.

– To znaczy? – Żywiej poruszył się kapitan Doliński. – Coś więc jednak znaleźliście?

– Ślady sań. Wiesz, takich zwyczajnych sanek, jakich używają dzieciaki. Zaczynają się na ścieżce tuż obok miejsca, w którym leżało ciało, i prowadzą w kierunku ogrodzenia. Urywają się jednak w pobliżu ulicy, gdzie śnieg zniknął zupełnie po ostatniej odwilży.

– Czy są tam, to znaczy na tym cmentarzu, jakieś górki, skarpy?

– Chodzi ci o to, czy dzieciaki mogły tam jeździć na sankach?

– Właśnie.

– Owszem. Są tam takie miejsca, ale... – Szef grupy operacyjnej machinalnym ruchem wyciągnął z kieszeni paczkę „klubowych”, ale usłyszał groźne chrząknięcie kolegi, więc bez słowa, chociaż trochę ociągając się, zrezygnował z palenia. – Ale widzisz... wtedy na śniegu pozostaje masa śladów i sań, i stóp. Tymczasem tam ślad był tylko jeden. To znaczy – poprawił się szybko, gdyż doskonale znał zamiłowanie kapitana Dolińskiego do dokładności i

ściślych sformułowań – tylko jednych sanek. Do miejsca, w którym leżało ciało, i od tego miejsca do ogrodzenia z metalowej siatki, w której zresztą jest pokaźna dziura.

– A więc mam wyciągnąć z tego wniosek, że Stefania Pawelec została uduszona gdzieś poza cmentarzem, a później jej ciało na sankach zawieziono tam, gdzie zostało odkryte. Tak?

– Wyciąganie wniosków, mój miły, nie należy już do mnie. Ja ci tylko relacjonuję fakty. Tak jak tego wymagasz: dokładnie i ściśle.

W głosie mówiącego zabrzmiała nutka przekory, więc kapitan Doliński rzucił szybkie spojrzenie na jego twarz. Na tyle szybkie, aby przyłapać na niej uśmieszek pełen rozbawienia.

– A ty sobie nie urządzaj tutaj śmichów ze mnie.

W głosie Dolińskiego nie było jednak ani śladu obrazy. Zdawał sobie od dawna sprawę, że jego sposób bycia, jego wypowiedzi i styl prowadzenia spraw u niejednego kolegi mogły budzić nie tylko rozbawienie, ale i prowokować do kpin. I wcale mu to nie przeszkadzało, miał bowiem duże poczucie humoru, do którego zresztą niezbyt chętnie się przyznawał, starając się sprawiać wrażenie człowieka zdecydowanie zasadniczego.

– I nie pokpiwaj też – dodał takim właśnie zdecydowanie zasadniczym tonem – z moich wymagań dotyczących dokładności w pracy i ściśłości w formułowaniu informacji. Gdybyście wszyscy tego się nauczyli, nasza robota byłaby wykonywana o wiele sprawniej.

– A wtedy – ochoczo podchwycił tamten – raz na zawsze zniknęłyby wszelkie zbrodnie i wszyscy przestępcy przestaliby istnieć. A my poszlibyśmy na zieloną łączkę, bo nie mielibyśmy nic do roboty.

Kapitan Doliński, który miał zamiar grać dalej rolę człowieka jadącego na swoim koniku, znów dostrzegł błysk rozbawienia w oczach kolegi. Pomyślał sobie, że to daremny trud, gdyż ten zna go na wylot, machnął więc ręką, odpowiedział uśmiechem i rzucił już tylko:

- Czort z tobą. Gadaj dalej.
- Dalej? Właściwie to już wszystko.
- Właściwie... – z pogardliwą kpina prychnął kapitan.

W tej chwili nie żartował ani niczego nie udawał. Zupełnie poważnie i zdecydowanie nie cierpiał tego rodzaju odpowiedzi. Bo co może znaczyć takie: właściwie... W ten sposób może mówić człowiek, który nie jest zdecydowany, który czegoś nie wie na pewno, który czegoś zaniedbał albo o czymś zapomniał. A zgodnie z najgłębszym przekonaniem kapitana Dolińskiego żadna z tych rzeczy nie może się przydarzyć funkcjonariuszowi milicji, a zwłaszcza pracownikowi służby kryminalnej. „To jest zwyczajne niedołęstwo – powtarzał zwykle w rozmowach z kolegami – i partactwo. A dla niedołęgów i partaczy nie widzę miejsca w naszej robocie.”

– Siatkę zbadaliście? – rzucił gniewnie. – Jak powstała ta dziura? Jak dawno?

– Za kogo ty mnie masz? – zachnął się wyraźnie dotknięty szef grupy operacyjnej. – Za żółtodzioba tylko, czy

za głupka ostatniego?

– No... no... – Głos kapitana złagodniał. – Z tą twoją grupą nigdy nic nie wiadomo. No więc?

– Dziura w siatce powstała przez przecięcie kilkunastu oczek. Ale... – dorzucił szybko, dostrzegając, że kapitan Doliński żywiej poruszył się na krześle – nie ciesz się, mój miły, bo na nic twoje nadzieje. Tę dziurę ktoś zrobił już dość dawno.

– Na pewno?

– Na pewno, mój miły. Ona tam była co najmniej od roku. Wyraźnie na to wskazuje stopień korozji drutu w miejscach przecięcia. A morderca, jak sądzę, po prostu z niej skorzystał, aby ukryć ciało w ustronnym miejscu. Zależało mu pewnie na czasie.

– Podobno – kapitan Doliński zmierzył kolegę kąpiącym spojrzeniem – ty nie jesteś od wyciągania wniosków.

– Zapomniałem się. Przepraszam.

– Zdjęcia już masz?

– Coś ty? – Szczerze zdziwił się tamten. – Będzie dobrze, jeżeli otrzymasz je jutro.

– Co możesz powiedzieć jeszcze? Jakies inne, ślady, jakieś szczegóły, które może zwróciły twoją uwagę?

– Właści... – Szef grupy operacyjnej połknął zakończenie tego słowa, spiorunowany spojrzeniem Dolińskiego.

– Jest coś takiego?

– Owszem. Jest pewna drobnostka.

– Drobnostka. – Kapitan Doliński wzniósł oczy ku sufitowi, co zapewne miało wyrazić jego zgrozą i święte

oburzenie. – Kiedyż wy zaczniecie rozumieć, że w kryminalistyce nie ma drobnostek. Wszystko... Wszystko jest ważne. Co to jest?

- Płaszcz ofiary...
- Co z tym płaszczem?
- Na lewym ramieniu znaleźliśmy plamę. Wygląda tak, jakby jego właścicielka oparła się o pobieloną ścianę.
- Wzięliście próbki do analizy?
- Jasne.
- To dobrze. Kiedy?
- Postaram się, abyś wyniki otrzymał już jutro.
- Niech ci będzie.

Kapitan Doliński westchnął ciężko i wziął z biurka dowód osobisty Stefanii Pawelec. Gdy go otworzył, zobaczył zdjęcie niemłodej kobiety, o rysach raczej topornych, z silnie zaciśniętymi wargami, z dużym i mięsistym nosem, z oczami, w których kryły się chciwość i upór. A właściwie raczej nie zwyczajna chciwość, lecz to, co ludzie zwykli określać słowem pazerność. Ta kobieta na pewno wiedziała dobrze, czego chce w życiu, i przyzwyczajona była dążyć do tego, nie oglądając się na nic i podejmując każdy wysiłek. Na pewno też osobom bliskim niełatwo było z nią żyć.

Ale czy to może być powodem zabójstwa? – pomyślał kapitan Doliński. I natychmiast zreflektował się, mocno przygnębiony. A mało to razy ludzie zabijali się dla mniej ważnych powodów?

Przerzucił dalsze kartki dowodu, lecz nie znalazł tam nic ciekawego. Odłożył go więc na poprzednie miejsce, rzucił

okiem na sweterki i motki wełny, wziął w palce chustkę, która była prawdopodobnie narzędziem zbrodni, lecz wyglądała zwyczajnie, jak wszystkie normalne chustki, i pochylił się nad biletami, nie dotykając ich jednak. Na koniec zerknął na kupkę monet.

- Ile tego jest?
- Trzydzieści osiem złotych i sześćdziesiąt groszy.
- Portmonetki nie znaleźliście?
- Nie. Te pieniądze leżały luzem, w kieszeni płaszcza.

Razem z biletami.

Kapitan Doliński już zamierzał ostro ofuknąć szefa grupy operacyjnej za to, że nie przekazał mu tej informacji wcześniej, razem z innymi, lecz nagle odechciało mu się tego. Poczł się raptem zmęczony, pełen niechęci do oczekującej go roboty, do grzebania się i wciskania po raz nie wiadomo który w te wszystkie paskudne sprawy równie paskudnych ludzi.

Westchnął ukradkiem.

Takie stany przygnębienia i zniechęcenia opadały go coraz częściej, właściwie na początku każdej nowej sprawy. Później potrafił otrząsnąć się, wracała normalna energia i giętkość myśli, ale gdy tylko zabierał się do kolejnego dochodzenia, znów wszystko zaczynało się od nowa.

Jestem cholernie zmęczony – pomyślał z przykrością. I pewnie starzeję się.

Nie obsztorcował więc szefa grupy operacyjnej tylko rzucił kolejne pytanie:

– Czego tam jeszcze nie było?

Tamten spojrział na niego z wyrazem uznania w oczach.

– A skąd wiesz, że coś jeszcze miało być?

– Moja rzecz... A więc?

– Zniknęła obrączka i, chyba, pierścionek. Na palcu prawej dłoni pozostały bowiem...

– Dobra. Wiem, co zostawia obrączka i pierścionek na palcu. To by znaczyło, że... – kapitan Doliński utkwiał w twarzy kolegi badawcze spojrzenie – chodziło po prostu o rabunek. Tak?

Tamten się roześmiał.

– Ja podobno nie jestem od wyciągania wniosków. Zwłaszcza tych pochopnych.

Kapitan Doliński pokiwał głową.

– Głupi to ty jednak nie jesteś.

– Dzięki za uznanie.

Z pewnym obrzydzeniem, jako że nienawidził takiego bałaganu, kapitan Doliński raz jeszcze obejrzał wszystkie przedmioty, leżące na jego biurku.

– No, dobrze – powiedział. – Dzięki ci za wszystko. – I nie byłby sobą, gdyby nie dorzucił: – Mam nadzieję, że to naprawdę wszystko, że niczego nie przegapiliście.

– Mogę cię podzucić wozem. Sam sprawdzisz na miejscu.

Kapitan Doliński wstrząsnął się ze wstrętem na samą myśl o takiej ewentualności.

– Coś ty? – Był naprawdę oburzony. – Na głowę upadłeś?

A od czego jesteś ty i twoi ludzie?

– Przecież ciągle nam nie ufasz. Podejrzewasz, że możemy czegoś nie zauważyć...

– Nie możecie – dość szorstko przerwał kapitan Doliński.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jeżeli pracownik służby śledczej czegoś nie zauważa, to znaczy, że się do takiej roboty nie nadaje. I natychmiast powinien zostać przeniesiony do najbliższego pegeeru na nocnego stróża. Jasne?

Szef grupy operacyjnej roześmiał się, traktując to stwierdzenie jako żart. Potem wstał z krzesła i ruszył ku drzwiom. Tam jednak z dłonią na klamce zatrzymał się, popatrzył na kapitana Dolińskiego, który siedział za biurkiem pogrążony w głębokiej zadumie, i spytał:

– A ty? – W jego głosie była wyraźna nutka kpiny. – Ty nigdy się nie mylisz i niczego nie przegapiasz?

Kapitan uniósł głowę i spojrzał na niego tak, jakby zupełnie nie rozumiał, o co chodzi.

– Nigdy – odpowiedział po dłuższej chwili z całkowitym przekonaniem. – Pod warunkiem jednak, że wy dostarczacie mi dokładnych i ścisłych informacji.

3.

Kiedy żona postawiła przed nim talerz z zupą, począł jeść nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co połyka.

Bo myślami był ciągle jeszcze w swoim pokoju w komendzie, a jego umysł zajmował się uparcie przetrawianiem całego materiału, jaki dotychczas zdołał zgromadzić w nowo założonej teczce z różową tekturową okładką i czarnymi tasiemkami.

Znajdował się w niej meldunek o zaginięciu Stefanii Pawelec, sporządzony w Komendzie Dzielnicowej, sprawozdanie szefa grupy operacyjnej o wynikach pracy jego ludzi oraz papier z informacjami, których dostarczył sierżant Antosiak.

- Nie smakuje ci? – usłyszał zatroskany głos żony.
- Smakuje – odpowiedział szybko. – Jak zawsze.

I teraz jednak nie zainteresował się tym, co je. Starał się jak najdokładniej przypomnieć sobie rozmowę z Antosiakiem.

– I co ustaliliście? – zapytał sierżanta, kiedy ten zjawił się w jego pokoju.

Widział zmieszanie na twarzy podwładnego i usłyszał to denerwujące:

– Niewiele, kapitanie.

– To znaczy, co? – Zniecierpliwił się. – Konkretnie...

– Konkretnie... – Antosiak wyciągnął ku niemu dłoń z arkusikiem papieru, na którym sporządził swój dzisiejszy raport, jakby miał nadzieję, że osłoni się nim przed jego niezadowolaniem. – Tu jest wszystko, co zdołałem...

– Dobra. To na później. – Zerknął na zapiski sierżanta i położył je na biurku przed sobą. – A teraz gadajcie.

– No więc zgodnie z poleceniem obywatela kapitana udałem się do mieszkania rodziny Pawelców, aby rozpytać ich na okoliczności zaginięcia... Stefanii...

– Dlaczego zwlekali ze zgłoszeniem się do komendy? Zdołaliście to ustalić?

– Rodzina Pawelców, zgodnie z meldunkiem dzielnicy, oświadcza i potwierdza, że najpierw prowadzili poszukiwania na własną rękę.

– I żadne z nich nie zaniepokoiło się tak długą, nieobecnością żony i matki, by pójść wcześniej na komendę?

– Nie, kapitanie. Na moje pytanie odpowiadali zgodnie, że wszyscy w domu, to znaczy cała rodzina, byli przyzwyczajeni do nagłych wyjazdów Stefanii Pawelec, często nawet na kilka dni.

– Bez żadnego uprzedzenia?

– Twierdzą, że tak, że zdarzało się jej wyjeżdżać bez zostawiania żadnej wiadomości.

– Nie wydało się to wam dziwne?

– Właśnie, kapitanie. Pomyślałem to samo. Bo niechby tak na przykład moja żona...

– Pobieglibyście na milicję już następnego dnia?

– Tego samego, kapitanie.

– Nie każdemu, jak widać, zależy tak samo na żonie.

– Właśnie. Z tego wynika, że jednak nie każdemu.

– Uważacie, że Pawelcom nie zależało tak bardzo?

– Czy ja wiem? – Sierżant zawahał się. – Za mało

mamy informacji, aby stwierdzić to z całą pewnością. Tylko dziwnym mi się zdawało, że oni dopiero po pięciu dniach, jak zaznali, zaczęli się zastanawiać, gdzie ona może być. I zwlekali jeszcze ze dwa dni, zanim zaczęli rozpytywać znajomych, czy nie wiedzą czegoś o matce. A swoją drogą ta Stefania Pawelec miała bardzo wielu różnych znajomych. Przepytanie wszystkich musiało zająć sporo czasu.

– Powiedzieliście, że pytali o matkę... To znaczy, że robiły to dzieci?

– Tak, kapitanie. Przede wszystkim starsza córka.

– A mąż?

– On jest jakiś dziwny.

– Co to znaczy?

– No... Wygląda, że zaginięcie żony wcale go nie obezszo.

– No tak... Co jeszcze? Mówiliście, że Stefania Pawelec miała wielu znajomych. Jakiego rodzaju są te jej znajomości?

– Przede wszystkim handlowe. Bo ona zajmowała się pokątnym handlem, kapitanie. Na targu na Turzynie, czasami przed pedetem, a także po wioskach. Sprzedawała sweterki i inne babskie ciuszki. Przede wszystkim zagraniczne, jak wynika z zeznań sąsiadów, pytanych na tę okoliczność.

– To wszystko?

– Właściwie wszystko – dość markotnie odpowiedział sierżant.

- A rodzina Pawelców? Wiecie coś o nich?
- Sierżant rozjaśnił się natychmiast.
- Rodzina składa się z czterech osób, gdyż rzeczywiście jest tam jeszcze trzynastoletnia córka.
 - Zacznijmy od góry. To znaczy, od głowy rodziny.
 - Tak... A więc mąż zamordowanej... Franciszek Pawelec, lat sześćdziesiąt jeden, inwalida na emeryturze. W domu zajmuje się wyrobem swetrów, którymi handlowała jego żona.
 - Co to za człowiek?
 - Dość dziwny, kapitanie. Nie bardzo mogłem go rozgryźć. Taki jakiś przygaszony, zamknięty w sobie. I chyba zastraszone.
 - Przez kogo?
 - Wygląda, że przez swoją żonę. Bo gdyby obywatel kapitan go widział... Musiał przy niej wyglądać jak kurczak przy mocnej, utuczonej gęsi.
 - Skąd wiecie?
 - Widziałem u nich w mieszkaniu duży ślubny portret. Już wtedy ta kobieta przewyższała go rozmiarami co najmniej dwukrotnie. I tak sobie, patrząc na to zdjęcie, pomyślałem, że kto jak kto, ale chyba nie on był głową w tym domu.
 - A dzieci?
 - Dzieci... Syn ma na imię Bolesław, kończy Technikum Budowy Okrętów. Córka...
 - Nie tak szybko, Antosiak. Nic więcej o nim nie potraficie powiedzieć?

– Niewiele, kapitanie. Chłopak niesympatyczny. Długie włosy, rozkloszowane portki. Pyskaty i pewny siebie. Tak po mojemu, kapitanie, to on nie bardzo przejmuję się losem matki. I ojca chyba też.

– Dobra. Teraz córka.

– Alina uczy się w dziewiątej klasie szkoły ogólnokształcącej. Ta wyraźnie jest za matką. Na pewno takie mamusine oczko w głowie i prawa ręka w rządzeniu domem. To ona była inicjatorką pójścia na milicję. Do ojca odnosi się niegrzecznie i wyraźnie bez żadnego szacunku. Nawet chyba nim pomiata.

– Ładna rodzinka.

– Właśnie. Na dobrą sprawę to oni mogliby wymordować się nawzajem.

– No, no, Antosiak...

– Bo mnie wkurzają tacy ludzie, obywatelu kapitanie.

– A ile razy wam mówiłem, sierżancie, że funkcjonariusz służby kryminalnej zawsze musi być chłodny i obiektywny, że nie wolno mu się kierować żadnymi sympatiami czy antypatiami. Wszystkie takie odczucia bardzo łatwo prowadzą na ślepy tor.

– Tak jest, święta prawda, ale...

– Ale co? – uśmiechnął się rozbawiony uporem swego podwładnego.

– Ale trudno się powstrzymać, kiedy spotyka się takich ludzi. – Sierżant pozwolił sobie na ton bardziej poufalej, prywatnej rozmowy. – Mnie to zawsze aż zimno się robi,

kiedy takich napotykam. I ręka zaraz mnie swędzi.

– Sądzicie, że biciem można ludzi wychować?

– Dorosłych na pewno nie. Ale gdyby tak od dziecka starzy nie żalowali pasa, głowę dają, że wyrosliby z nich ludzie. Mój ojciec na przykład nigdy mi lania nie żałował...

– Wracajmy jednak do sprawy.

– Tak jest, obywatelu kapitanie. – Sierżant natychmiast przyjął służbową postawę. Wrócił też do poprzedniego tonu. – Druga córka ma na imię Zofia. Uczy się...

– To chyba nieważne, sierżancie. Takie dziecko raczej nas nie interesuje. Wróćmy do starszych... – Antosiak spoglądał wyczekująco. – Tak... Ale tak na pewno nie potraficie powiedzieć, dlaczego na komendę poszły dzieci, a nie mąż zaginionej?

– Franciszek Pawelec tłumaczy, że jako inwalidzie trudno mu się poruszać. I to jest prawda, kapitanie. Stwierdziłem ten fakt naocznie, ale...

Sierżant zrobił pauzę dla wywołania lepszego efektu, lecz on natychmiast ofuknął go, czyniąc jednocześnie ponaglający gest dłonią:

– Nie zgrywajcie się, Antosiak! To nie telewizyjna „Kobra”, a wy nie jesteście aktorem w roli detektywa.

– Wszyscy sąsiedzi twierdzą, że małżeństwo Pawelców było bardzo skłócone. Podobno często dochodziło między nimi do kłótni, a nawet do głośnych awantur. Jedna z sąsiadek mówiła, że oni żyli ze sobą jak pies z kotem. Między dziećmi a rodzicami także nie było lepiej. No... Z tego,

na przykład, co mi powiedziała ta ich najmłodsza pociecha, wynikało, że Franciszek Pawelec zupełnie świadomie odwlekał moment zgłoszenia na komendzie o zaginięciu żony. Powiedziała mi, że kiedy ta starsza okazywała niepokój i mówiła, że należałoby coś przedsięwziąć, to ojciec wszystko bagatelizował albo wcale się nie odzywał.

– To wszystko?

– Tak. To już wszystko.

– Ano... – podsumował. – Rzeczywiście to niewiele. Chociaż... – Wyjął z szuflady nowiutką różową teczkę i bez pośpiechu rozwiązał tasiemki, by schować w niej arkusz papieru z raportem sierżanta. – Chociaż mamy już pewne punkty zaczepienia. Siadajcie.

Sierżant przysunął krzesło do biurka i sięgnął do górnej kieszonki munduru.

– Ołówek macie?

– Długopis.

– Dobra. To zanotujcie sobie... Sprawdzić kartotekę Stefanii Pawelec. Takie handlarki często wchodzą w konflikt z prawem, więc bardzo możliwe, że i ona także... Jest szansa, że w ten sposób czegoś więcej się o niej dowiemy. To raz. I dwa: przeprowadzić dokładny wywiad wśród handlarzy na Turzynie. Wiem... – przerwał sierżantowi zanim ten zdążył się odezwać – że to robota żmudna i pracochłonna. Zagońcie do niej plutonowego Adamka. To zajęcie w sam raz dla niego. Ewentualnie jeszcze tam kogoś, kto ma rozeznanie w tym środowisku. To dwa... I właściwie

wszystko. Działajcie. Aha! I sprowadźcie mi na przesłuchanie całą tę rozkoszną rodzinę. Na jutro...

– Ależ kapitanie!

– Nie dacie rady, co? Dobra. Niech będzie na pojutrze.

– A kiedy sierżant Antosiak wstawał już z krzesła, zmienił nieco swoje polecenie: – Słuchajcie... A tej małej, tej najmłodszej, możecie nie ściągać. Wątpię, żeby się mogła do czegoś przydać, a po co taki dzieciak ma się płątać po komendzie.

Zupełnie nie zauważył, kiedy żona zmieniła talerze, stawiając przed nim drugie danie.

Jadł je tak samo jak zupę, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co przełyka. Aż w końcu usłyszał pełen z troskania głos żony:

– Nie smakuje ci?

– Nie – odpowiedział. – Dlaczego? Bardzo to dobre.

– A chociaż wiesz, co masz na talerzu?

– A co?

Podniósł na nią niezbyt przytomne oczy. Roześmiała się, ale w tym jej śmiechu więcej było żalu niż prawdziwej wesołości.

– Przecież golonkę. Taką, jaką lubisz. Z ziemniaczkami i kapustą. Z godzinę po nią stałam w kolejce i tak się cieszyłam, że dostałam dla ciebie.

– No, tak... Przepraszam...

Opuścił wzrok na talerz, aby się nacieszyć widokiem dania, które stawiał ponad wszystkimi innymi potrawami...

- Masz jakieś zmartwienie?
- Zmartwienie? – Patrzył teraz w oczy żony i widział w nich to samo zatroskanie, jakie przed chwilą słyszał w jej głosie. – Nie. Po prostu mam nową sprawę. I to paskudną.
- Znow ktoś kogoś zabił?
- Tak.

Westchnęła. Nigdy nie mogła pojąć, że ludzie są tak okrutni, że potrafią zabijać innych. Dla niej nie było nic ważniejszego ani cenniejszego od życia. Dlatego chyba, może trochę po swojemu, po kobiecemu, rozumiała to przynębienie, które ogarniało jej męża zawsze, gdy miał do czynienia z nową zbrodnią.

- Chcesz może kielicha?
- A wiesz... – ożywił się. – Daj.

Obiad jedli w kuchni, więc wyszła do pokoju, skąd wróciła po chwili z flaszką „Extra - Żytnej”. Bo kapitan Doliński, jeżeli już pił wódkę, to tylko dobrą żytniówkę. „Jest ostrzejsza w smaku – twierdził – a przede wszystkim nie pozostawia w gębie tego paskudnego fuzlowego posmaczku jak inne”.

- Na pewno zrobi ci dobrze – powiedziała nalewając mu kieliszek.
- Kobieto, zlituj się – błagalnym tonem wykrzyknął małżonek. – Ty to nazywasz kielichem? – Z pogardą tknęła palcem dwudziestopięciogramową stopkę.
- Dlaczego? – Nie zrozumiała go.
- Kochanie, jeżeli proponujesz mi kielicha, to należy przynajmniej pięćdziesiątkę.

– Niech ci będzie. – Założyła nakrętkę na szyjkę butelki i postawiła ją na stole. – Później wypijesz drugi.

Kiedy skończyli obiad, zaparzyła kawę, wyjęła z lodówki butelkę piwa i przeszli do pokoju.

– Wiesz – powiedziała siadając naprzeciw niego. – Wiesiek pisał.

– Co? – Oderwał kufel z pieniącym się piwem od ust. – Kobieto! I dopiero teraz mi to mówisz?

– Widziałam, że wróciłeś mocno skwaszony, więc wolałam poczekać, aż ci się po obiedzie humor poprawi, żeby móc z tobą spokojnie pogadać.

– A skąd wiedziałaś, że mi się poprawi?

Uśmiechnęła się spokojnym uśmiechem kobiety pewnej swojej wiedzy o mężu.

– Bo dobrze ciebie znam. I wiem, że nawet najgorszy humor poprawi ci się po dobrym jedzonku.

– Masz rację. Nie da się ukryć, że lubię sobie pojeść.

Postawił kufel z piwem na stole. Było to stare i pojemne naczynie z fajansu, ozdobione wypukłymi, kolorowymi postaciami piwoszów i napisami w języku niemieckim. Otrzymał je kiedyś od jednego z przyjaciół jako prezent imieninowy.

– Co pisał? – spytał niecierpliwie. – Gdzie to masz?

Z kieszeni domowego fartucha wyjęła barwną pocztówkę i podała mu ją przez szerokość stołu.

– Z Las Palmas – powiedziała. – To na Wyspach Kanaryjskich.

– Kobieto! Chcesz mnie uczyć geografii?

Najpierw zajął się tekstem. Była to bowiem, jak na razie,

jedyna wiadomość od ich syna, który po ukończeniu Szkoły Morskiej wyruszył w swój pierwszy rejs. I od razu do portów Afryki Zachodniej.

Kochani! – Literki były drobniotkie, aby jak najwięcej słów mogło się zmieścić na niewielkiej kartce. – Wybaczcie, że piszą dopiero teraz. Wcześniej nie mogłem. W Dunkierce staliśmy krótko, miałem wachtę portową, no i... nie zdążyłem nic napisać. Czuję się doskonale. Wrócę opalony na Murzyna. Morze jest wspaniale, o takim zawsze marzyłem. Las Palmas cudne, kolorowe. Zupełnie jak na tej kartce. Co u was? Piszcie do mnie, adresując na agenta PŻM w Abidżanie. Całuję Was mocno – Wiesiek.

Dopiero teraz odwrócił kartkę, aby obejrzyć pierzaste palmy ciemnymi sylwetkami rysujące się na tle płonącego barwami zachodu nieba i takiego samego morza z czarnymi sylwetkami statków stojących prawdopodobnie na redzie.

– Pięknie tam, prawda?

Oderwał wzrok od kartki.

– Chyba pięknie. Ale na pewno nie aż tak jak tu, na obrazku.

– A dlaczego nie? Świat jest przecież taki kolorowy. Ja w każdym razie chciałabym tam być i zobaczyć choć troszkę.

Jeszcze raz obejrzał widokówkę, jeszcze raz przeczytał słowa syna.

– Kto by nie chciał – powiedział i położył ją na stole. Wziął kufel z piwem i uniósł go do ust. – Trzeba się jednak

pogodzić z, tym, że nigdzie nie pojedziemy i nic nie zobaczymy. Za starzy jesteście na takie morskie podróże.

– Dobrze, że chociaż chłopak pozna świat.

– Zapominasz, że nie jest turystą tylko marynarzem. I nie zawsze ma czas na zwiedzanie.

– Ano tak... Chyba masz rację.

Wypił swoje piwo i poszedł do kuchni pozmywać naczynia, bo na dzisiaj przypadała jego kolej sprzątanania po obiedzie.

Gdy wrócił do pokoju, zastał żonę w fotelu pod białym, kaflowym piecem, z książką w ręku.

– Co czytasz? – spytał, poznając po okładce, że jest to coś nowego, czego jeszcze nie zna.

Oderwała wzrok od rozwartych stronic, aby spojrzeć na niego sponad zsuwających się na czubek nosa okularów.

– Hemingway – odpowiedziała, niemal smakując to nazwisko. – „Ruchome święto”.

– Już to wyszło?

– Tak. Dzisiaj dostałam – Uśmiechnęła się. – Oczywiście, spod lady. Całe szczęście, że mam chody w tej księgarni.

– Kiedy skończysz?

– Jak nie będziesz mi przeszkadzał, to za dwa, trzy dni.

Miał wielką ochotę wziąć książkę z jej rąk, obejrzeć ją dokładnie, przerzucić kartki, nacieszyć się tym nowym nabytkiem i myślał o bliskich, czekających go rozkoszach ciekawej lektury. Nie chciał jednak przeszkadzać żonie, pragnąc, aby jak najszybciej skończyła czytanie.

Dlatego też nie zapalał telewizora, lecz zajął się przeglądaniem czasopism.

– Słuchaj – usłyszał po kilkunastu minutach jej głos spod pieca. – Jest tutaj coś, co cię podniesie na duchu.

– Mnie? Co takiego?

– Okazuje się, że Hemingway także lubił kryminały.

No tak.. Kapitan Doliński znany był w komendzie jako prawdziwy połykacz powieści kryminalnych. Wszyscy koledzy traktowali to jako jeszcze jedno jego dziwactwo. „Bo czy można tracić czas na takie rzeczy? – dowodzili. – Przecież tam nie ma ani odrobiny prawdy o naszej robocie. Bajki dla tych, którzy nie mają pojęcia, jak naprawdę wygląda prowadzenie dochodzenia”. A kapitan Doliński odpowiadał im zwykle z głębokim przekonaniem: „I właśnie dlatego je tak lubię. I nasze codzienne życie, i nasza codzienna praca są tak szare i często tak przygnębiające, że tylko bajki pozwalają choć na chwilę oderwać się od tej szarzyzny. Dlatego ludzie lubią bajki. I wcale nie szkoda czasu na ich czytanie”. I zwykle dodawał ze złośliwym uśmieszkiem: „Bo może któryś z was pochwali się, że ten czas przeznaczasz na czytanie czegoś naprawdę wartościowego, co? Na przykład, Faulknera, albo... Nigdy nie dawali mu okazji do wydłużenia tej listy nazwisk, gdyż czym prędzej uciekali jak zmyci. Bo w tej dziedzinie; naprawdę, nie znalazł się jeszcze nikt, kto potrafiłby stawić czoła Dolińskiemu. Trzeba bowiem wiedzieć, że nie tylko kryminały stanowiły jego lekturę. Czytał ich wiele, to prawda, lecz traktował to jak dobry i

przyjemny relaks. Poza tym jednak interesował się literaturą współczesną i w swoim mieszkaniu miał sporą biblioteczkę, stanowiącą niemal pełny wybór najciekawszych pozycji. – Hemingway?

– Tak. Posłuchaj tylko. – I przeczytała mu głośno: – „Nigdy o niej nie słyszałem, więc panna Stein pożyczyła mi «Lokatora», tę cudowną historię Kuby Rozpruwacza, i inną książkę o morderstwie w jakiejś miejscowości pod Paryżem, którą mogło być tylko Enghien les Bains. Obie były wspaniałymi książkami na po pracy, postacie wiarygodne, a akcja i groza nigdy nie fałszywe. Były doskonałe do czytania, kiedy skończyło się pracować, i przeczytałem wszystko pani Belloc Lowndes, co tylko było. Ale nie było niczego więcej, a żadna z książek nie dorównywała pierwszym dwóm, i już nigdy nie znalazłem nic równie dobrego na pustą porę dnia czy nocy, dopóki nie wyszły pierwsze świetne książki Simenona...” I co ty na to?

– Ja także uważam, że Simenon jest świetny. I czuję, że jeszcze bardziej lubię Hemingwaya.

Patrzył jeszcze przez dłuższą chwilę, jak czyta, bardzo jej tego zazdroszcząc, aż wreszcie coś mu się przypomniało.

– Słuchaj...

– Tak? – Podniosła znad książki niezbyt przytomne oczy.

– Kiedy właściwie ma lecieć ta audycja o nas? Wiesz... Jakies dwa tygodnie temu odwiedził ich dziennikarz z radia z reporterskim magnetofonem na ramieniu. Przedstawił się

jako autor comiesięcznego magazynu wojskowego – kapitan sam już nie wiedział, jak to się stało, że mu oboje ulegli – i nagrała nimi dłuższą rozmowę, jako że byli kiedyś żołnierzami pierwszej dywizji.

– W niedzielę – odpowiedziała. – W najbliższą niedzielę. Przynajmniej tak mówił.

– To znaczy za trzy dni?

– Aha – mruknęła, pogrążona znów w lekturze.

A jemu przyszło na myśl, że jutro będzie się musiał znów zająć sprawą morderstwa Stefani Pawelec i że w tej chwili powinien myśleć tylko o tym, jak ją rozwiązać i aresztować sprawcę. To, i wyłącznie to, było najważniejsze w najbliższej przyszłości.

Ta refleksja przypomniała mu coś, co go tak bardzo gnębiło w tej całej historii.

– Słuchaj – zwrócił się do żony. – Wybacz, że ci przeszkadzam, ale chciałbym, żebyś mi pomogła.

Zawsze miał wielkie zaufanie do jej zdrowego rozsądku i życiowej – jak to określał – mądrości.

– Tak?

– Słuchaj... – opowiedział o tym, co się stało ze Stefanią Pawelec, i o tym, że przez prawie dwa tygodnie nikt w domu nie przejął się zbytnio jej zaginięciem. – Jak myślisz? Dlaczego? Co mogło być powodem takiej obojętności i męża, i dzieci? Bardzo mnie męczy to pytanie.

Zastanawiała się chwilę, spoglądając na niego, ale właściwie go nie widząc.

– Wiesz – kiedy się odezwała, w jej głosie było przygnębienie, takie samo chyba, jakie odczuwał on sam od pierwszej chwili zetknięcia się z tą sprawą. – Ja myślę, że tej kobiety po prostu nikt nie kochał. Mało... że nikt jej nie lubił. I że nikomu nie była potrzebna.

4.

Kiedy kapitan Doliński stawiał się rano do pracy, zastał już czekających na niego członków rodziny Pawelców. Wszyscy troje siedzieli na szerokiej drewnianej ławie, ustawionej na korytarzu pod ścianą, i kiedy przechodził obok nich, w ogóle nie zwrócili na niego uwagi.

On natomiast, chociaż ani na moment nie zwolnił kroku, zdążył zlustrować ich jednym, taksującym i oceniającym spojrzeniem.

Dwoje młodych nie wyróżniało się niczym specjalnym. Ot, typowi przedstawiciele dzisiejszej młodzieży, jakich dziesiątki, a nawet i setki, oglądał codziennie na ulicach miasta. Stary Pawelec natomiast od razu zwracał uwagę. Przed wszystkim swoim bardzo zaniedbanym strojem, od kilku dni nie goloną twarzą i jakimś nieokreślonym, lecz rzucającym się w oczy wyrazem zubożenia na wszystko.

Usadowiwszy się za swoim biurkiem, kapitan Doliński wezwał sierżanta Antosiaka.

– I co? – przywitał go pytaniem, w którym wyraźnie czuło się, niecierpliwą ciekawość. – Macie wszystko?

– Prawie.

- Co to znaczy, prawie?
- No... – sierżantowi Antosiakowi wydawało się, że szef jest dzisiaj w dobrym nastroju, i dlatego odważył się na ton żartobliwy. – To znaczy, że jednak nie wszystko.
- A czy zdarzyło się wam kiedykolwiek wiedzieć naprawdę wszystko, co było mi potrzebne?
- Nie wiem. – Sierżant zastanowił się w duchu, czy to pytanie nie jest przypadkiem zapowiedzią zbliżającej się burzy. I dlatego odpowiedział już bardzo oględnie: – Może... Czasami...
- Czasami – prychnął kapitan Doliński. – To tylko wam się tak zdaje. No, ale... Gadajcie, co wiecie o Stefaniu Pawelec, bo szkoda czasu. Tam na korytarzu ludzie czekają.
- Sierżant natychmiast zerknął do notesu, który trzymał w ręku. Wiedział, bowiem, że kapitan będzie zadowolony, gdy złoży mu relację nie z pamięci, lecz na podstawie wcześniej spisane go raportu.
- A więc tak... Okazało się, jak słusznie obywatel kapitan przewidywał, że Stefania Pawelec jest u nas notowana.
- Jednak? – W głosie kapitana zabrzmiała nutka niezbyt dobrze ukrytego zadowolenia.
- Tak. Przed dwoma laty, dokładnie... – tutaj sierżant Antosiak wymienił ścisłą datę – Urząd Celny wszczął postępowanie karno-skarbowe przeciwko Stefaniu Pawelec. – I zaraz dorzucił tonem wyjaśnienia: – Sprzedawała na turzyńskim targowisku towary pochodzenia zagranicznego, na

które nie miała kwitu opłaty celnej.

– I co? – Niecierpliwie ponaglił kapitan Doliński, gdy sierżant urwał. – Została ukarana?

– Nie. Postępowanie przeciwko niej zostało umorzone, gdyż na zakwestionowany towar wszystkie potrzebne papiery przedstawił niejaki – sierżant znów zerknął do swoich notatek – Adam Czarnodół, zatrudniony w Przedsiębiorstwie Połowów Dalekomorskich i Usług Rybackich „Dalryb” w Szczecinie w charakterze starszego rybaka na jednostkach łowczych.

– Ano tak... – mruknął kapitan Doliński.

Zabębnił palcami o blat biurka.

Jego ożywienie zgasło tak samo nagle, jak się zrodziło pod wpływem nadziei, że trafia na właściwy trop, że dostaje do ręki nić, po której dojdzie do kłębka, czyli do mordercy. Tymczasem ta sprawa sprzed lat wygląda na rzecz błahą, jedną z wielu, w które wplątują się ludzie tacy jak Stefania Pawelec, trudniący się pokątnym handelkiem. I nic nie wskazywało na to, aby mogła mieć Ona jakikolwiek związek z morderstwem.

– A... – znów się ożywił. – Ta druga sprawa? Czego dowiedzieliście się od przekupek z targu?

– Właśnie, kapitanie... – Sierżant Ántosiak odchrząknął z miną niezbyt pewną. – To właśnie jest to, czego jeszcze nie mam.

– Dlaczego?

– Tym się zajął plutonowy Adamek. On wśród takich

ludzi czuje się jak ryba w wodzie, ale obywatel kapitan wie, jaki on jest...

– Wiem – przerwał sierżantowi Doliński – Nie pojawił się jeszcze?

– Właśnie. Zniknął z komendy, jak tylko dostał to polecenie. Przepadł jak kamień w wodę. Nawet dzisiaj rano się nie pokazał. Z nim zawsze tak samo.

Tak. Z plutonowym Adamkiem zawsze były te same kłopoty. Zniknął bez słowa i nikt nie wiedział, gdzie go szukać. Ale plutonowy Adamek miał jedną zaletę. Działał niezawodnie. Był po prostu urodzonym wywiadowcą.

– No cóż... – westchnął kapitan Doliński, który żywił głęboko ukrywany żal do swego podwładnego o to, że chociażby w małym stopniu nie stara się przejąć tych cech sierżanta Antosiaka, które tak są mu miłe i które tamtemu niejednokrotnie stawiał za przykład. – Musimy poczekać.

– Tak – smętnie przyznał sierżant. – Nic innego nie możemy zrobić.

– Jak to nie? Zapomnieliście o Pawelcach?

– Nie, kapitanie.

– To dawajcie ich! Nie – rzucił za sierżantem, który już ruszał do drzwi. – Nie wszystkich naraz.

– Więc kogo na pierwszy ogień?

– Dajcie... – kapitan Doliński zastanawiał się chwileczkę. – Dajcie młodego Pawelca. I wy będziecie protokołować.

Sierżant Antosiak wezwał do pokoju Bolesława Pawelca, pokazał mu krzesło, na którym ma usiąść, sam zaś usadowił się przy małym stolczku pod oknem z kilku arkusikami

druzków protokołów i długopisem gotowym do pisania.

Kapitan Doliński bez żadnej zwłoki przystąpił do wstępnej części przesłuchania, polegającej na spisywaniu personaliów i innych podobnych formalności.

Gdy z tym skończył, siedział dłuższą chwilę w milczeniu, wpatrując się w chłopca.

– A więc tak, młody człowieku – zaczął surowym tonem. – Być może moje pytania uznacie za niedelikatne, ale tu jest Komenda Milicji, a nie ochronka. I zostaliście tutaj wezwani nie na miłą pogawędkę, tylko na przesłuchanie. Jasne?

Nie podobał mu się ten syn zamordowanej kobiety, ta jego nonszalancja, te niezbyt dobrze skrywane lekceważące uśmiešky, które pojawiały się na jego twarzy, gdy spoglądał na sztywnego, bardzo urzędowego sierżanta i na jego otyłą, ledwo mieszczącą się między ścianą a biurkiem, postać. I dlatego pomyślał, że wcale nie zaszkodzi, jeżeli go trochę postraszy.

– A zatem... – odchrząknął i ciągnął jeszcze bardziej surowo: – Pytanie zasadnicze. Kochaliście swoją matkę?

Zobaczył, że w oczach chłopaka, w których już zaczynało się pojawiać coś w rodzaju niepokoju, zabłysło szczere i wielkie zdziwienie.

– Co?

– Pytam, czy kochaliście matkę?

Młody Pawelec dość szybko ochłonął po tym pytaniu, którego nie spodziewał się w takim miejscu i przy takiej okazji. Wzruszył więc tylko ramionami i głosem, w którym

pojawiła się ta jego początkowa nonszalancja, odpowiedział:

– Nie wiem.

– Jak to? – Tym razem zaskoczony był kapitan Doliński. – Nigdy nie zastanawialiście się nad swoim stosunkiem do własnej matki?

– Chyba nie.

Kapitana na moment dosłownie zatkąło.

– Nie do pojęcia! – wykrzyknął wreszcie. – Przecież to o matce mowa. O rodzonej.

– Co z tego? – Chłopak nie okazywał wzruszenia ani jakichkolwiek innych uczuć. – Gdyby pan ją znał...

– To co?

– To by pan tak nie pytał.

– Była niedobra?

– Czy ja wiem? – Młody Pawelec milczał chwilkę, szukając pewnie odpowiednich słów. – Nie można z nią było wytrzymać.

– Co to znaczy? Mówcie dokładniej.

– To trudno tak ze szczegółami. W domu stale było piekło. O wszystko, o każdy drobiazg... Do wszystkiego się wtrącała, chociaż przeważnie nie miała o tym żadnego pojęcia. Wszystkim chciała rządzić, wszystko miało być tak, jak ona to wymyśliła... Struła życie nam wszystkim, a najwięcej ojcu,

– Wasi rodzice nie lubili się?

Młody Pawelec po raz pierwszy spojrział przesłuchującemu go oficerowi prosto w oczy. Uśmiechnął się jakimś

smętnym i bardzo gorzkim uśmiezkim i kapitanowi Dolińskiemu przez moment zrobiło się żal tego młodego człowieka.

– Panie kapitanie – usłyszał w odpowiedzi. – Czy oni nie lubili się? Oni się nienawidzili. Od wielu lat, od czasu, kiedy jestem na tyle dojrzały, aby to widzieć. Każdego dnia bałem się, że oni się nawzajem pozabijają. Tak to z nimi było, panie kapitanie, bez żadnej przesady. Wyglądało na to, że żyją z sobą pod jednym dachem to tylko po to, żeby psuć sobie to życie, truć je i niszczyć.

– Nie rozumiem – sapnął kapitan Doliński. I naprawdę nie potrafił zrozumieć takiej sytuacji, takiego małżeńskiego układu. – Przecież mogli się rozwieść?

– Pewnie, że mogli. Tylko że nie chcieli.

– Dlaczego?

Na ustach młodego Pawelca znów pojawił się grymas gorzkiego, a może tym razem i trochę złośliwego uśmiezku.

– Panie kapitanie, niedawno w jednej gazecie przeczytałem anegdotkę, która świetnie pasuje do tej sytuacji. Tam było tak: „Spotykają się dwie znajome. Zupełnie nie rozumiem, mówi jedna, dlaczego ci Kowalscy, którzy tak się nienawidzą, wreszcie się nie rozwiodą? A na to ta druga: To proste. Ich nienawiść stała się tak wielka, że żadne nie chce drugiemu sprawić tej przyjemności”. Tak, panie kapitanie. Mnie się zdaje, że z moimi starymi było dokładnie tak samo.

– I mówicie o tym tak spokojnie?

– A bo co? – zdziwił się chłopak. – Przez tyle lat

przywykłem do tego. I tylko coraz częściej myślałem...

Urwał i umknął spojrzeniem gdzieś w bok.

– No – ponaglił go kapitan Doliński. – O czym to tak myśleliście?

– Żeby jak najprędzej... – Młody Pawelec mówiąc to obdarzył kapitana Dolińskiego niechętnym spojrzeniem. – Żeby się wyrwać z tego domu...

– Musicie się jeszcze uczyć.

– Tak, ale...

Znów patrzył w bok. Zamknął się w sobie i milczał, czekając na dalsze pytania.

Tymczasem kapitan Doliński nie bardzo wiedział, o co go pytać. Zdarzyło mu się to chyba po raz pierwszy, ale też i po raz pierwszy usłyszał o takim koszmarze ludzi złączonych przecież najbliższymi, bo rodzinnymi więzami. Miał wielką ochotę wyprosić z pokoju tego chłopca, rzucie w diabły tę sprawę, znaleźć się w ciepłym zaciszu własnego domu, spojrzeć na zatroskaną \ jego kłopotami twarz żony i usłyszeć jej głos napełniający go spokojem i otuchą.

– I tak – zmusił się jednak do następnego pytania – z całą waszą rodziną wojowała matka?

– Tak. – Chłopak odpowiadał niechętnie. – Może tylko z Alką umiała się dogadać. A właściwie, to raczej Alka z matką.

– To wasza starsza siostra, Alina, tak?

– Tak.

– I jej stosunki z matką były dobre? Dlaczego?

– Bo Alka to cwaniara. Umiała się matce podlizać, być za tę najlepszą, najposłuszniejszą. A tymczasem...

Znów to nagle urwanie rozpoczętego w rozpędzie zdania i ucieczka spojrzaniem w bok, tym razem ku oknu, pod którym sierżant Antosiak pracowicie spisywał protokół przesłuchania.

– Co, tymczasem? – zniecierpliwiał się kapitan Doliński. Mierziło go to wszystko, ci ludzie, ta rodzina, jej sprawy, wzajemne niechęci. Chciałby skończyć jak najprędzej tę rozmowę i to dochodzenie. – Gadajcie! Czy mam każde zdanie siłą z was wyciągać?

– Z niej nie tylko cwaniara, ale i niewąska zdzira.

– Co macie na myśli? – Kapitan nie bardzo wiedział, dlaczego to pytanie rzucił tak ostrym tonem. Może po prostu dlatego, że zdenerwowało go to brutalne i cyniczne określenie skierowane pod adresem własnej siostry.

– No... – Chłopak pozostał nieporuszony. – Normalnie, panie kapitanie. Puszczaj się.

– Pamiętajcie, że mówicie o siostrze.

– To co? – Młody Pawelec był zdziwiony reakcją kapitana Dolińskiego. – Przecież pan chciał, żeby mówić prawdę; no nie?

– Tak, ale... Ona ma dopiero szesnaście lat.

– Co z tego? – Zdziwienie chłopaka było jeszcze większe. – Mogę panu pokazać niejedną młodszą od niej, co robi to samo.

– Jesteście tego pewni?

– Jak siebie samego.

– Nie do wiary.

– Dlaczego? Ona po prostu dobrze wie, że to jej najlepsze lata, że wkrótce będzie taka sama jak matka, bo wie

pan, ona jest do niej bardzo podobna, i wtedy nikt na nią nie poleci.

– Tak...

Kapitan Doliński już po raz drugi w czasie tego przesłuchania począł bębnić palcami o blat biurka. Tym razem trwało to jednak o wiele dłużej. Po prostu ogarnęło go takie obrzydzenie, że nie miał ochoty na dalszą indagację.

– Podpiszcie protokół i możecie iść – powiedział w końcu.

A kiedy młody Pawelec kierował się już do drzwi, rzucił za nim:

– Aha! Jeszcze jedno.

– Tak?

– Uprzedzam, abyście do zakończenia dochodzenia nie wyjeżdżali z miasta bez porozumienia się ze mną. Jasne?

– Pan kapitan myśli, że to ja? Matkę?

Kapitanowi Dolińskiemu zdawało się, że w oczach chłopaka zamigotał cień zrodzonego nagle niepokoju.

– Na razie – odpowiedział szorstko – nic nie myślę. Zbieram tylko informacje. I możecie mi jeszcze być potrzebni. To wszystko.

Kiedy został sam na sam z sierżantem, odsapnął głośno i odsuwając krzesło wyszedł spoza biurka.

– I jak się wam to podoba?

– Uroczą rodzinka.

– A niech to... Otwórzcie okno, sierżancie, bo trzeba tu wpuścić trochę świeżego powietrza.

Odetchnął kilka razy zimnym i wilgotnym powietrzem,

zamknął okno i polecił Antosiakowi:

- Dajcie mi teraz tę jego siostrunię.

Kiedy w drzwiach ukazała się Alina Pawelec, musiał przyznać, że brat miał zupełną rację, twierdząc, że chwila obecna to najlepsze lata jej kobiecości. Wysoka, krzepka, dziewczyna jak rzepa. Twarz, tak jak u matki, o rysach raczej topornych, mogła przyciągać niejednego mężczyznę niemal dziecięcą świeżością cery, soczystością warg i prowokującym wyrazem pełnych tupetu, a jednocześnie chytrłości oczu. Każdy bystrzejszy obserwator mógł dostrzec jednak, że ta świeżość i soczystość znikną bardzo szybko, a pozostanie jedynie toporność i wulgarność.

Dziewczyna usiadła na krześle, na którym przed kilku minutami siedział jej brat. Z przesadną skromnością obciągnęła spódnice, przykrywając pełne, okrągłe kolana.

Ten jej odruch, nie wiadomo dlaczego, rozgniewał kapitana.

- Nie ma się co bawić w udawanie” niewinności – fuknął szorstko. – Braciszek nieźle cię tu odmalował.

Policzki dziewczyny natychmiast pokryły się krwistą czerwienią. Nie był to jednak rumieniec wstydu, tylko złości. Gwałtownej, zawziętej złości.

- Podła świnia! – krzyknęła. – Kłamca.
- Naprawdę? – Kapitan Doliński był już spokojny. –

Bardzo łatwo możemy to sprawdzić, dziecino.

Przycichła, opuściła oczy, przygarbiła się. :

- Co to kogo obchodzi? – W jej głosie, chociaż bardzo przygaszonym, słyszało się wyraźnie wyzywający tupet. –

To są moje sprawy.

- No... Nie bardzo. Jesteś jeszcze małoletnia.
- I co z tego?
- Powinienem zainteresować tobą obyczajówkę.

Powiedział to, gdyż zdawało mu się, że takie postraszenie może wpłynąć hamująco na poczynania, głupiej przecież, dziewczyny.

Nic nie odpowiedziała.

Siedziała wyprostowana, z mocno zaciśniętymi zębami, z oczami jarzącymi się wciąż tą samą, kipiącą w niej złością.

- Więc jednak brat nie kłamał, prawda?
- On mnie nienawidzi!
- Tak? Dlaczego?
- Bo nie dałam mu kraść.

– Kraść?

– Kiedyś buchnął mamie zagraniczny golf. I ja go na tym przyłapałam. Innym razem koszulkę polo. A kiedyś zabrał książeczkę PKO.

– I ty o wszystkim powiedziałaś matce?

– Pewnie, że tak.

– I co?

– I dostał od mamy. – W jej głosie zabrzmiało mściwe zadowolenie. – Zdrowe manto mu sprawiła za każdym razem.

– Zbiła go?

– A pewnie. O, mama miała rękę...

Kapitan Doliński wyobraził sobie tę scenę i wzdrygnął się.

- Ojca też matka biła?
- Dziewczyna nie odpowiedziała od razu.
- Nie lubisz go?
- A za co mam go lubić? – Niemal wykrzyczała z siebie to pytanie. – Tylko wieczne piekło przez niego w domu.
- Przez niego? Dlaczego właśnie przez niego?
- Bo on zawsze nam na złość.
- Nam? To znaczy komu?
- No... Mamie...
- Aha. A na przykład co robił na złość mamie?
- Wszystko. Jak ona chciała tak, to on zawsze inaczej.
- Ale konkretnie?
- Najwięcej, to z tym domkiem. O to mama do niego największą miała złość.
- Z jakim domkiem?
- Oni przed wojną, tam gdzie mieszkali, mieli własny domek. I mama zawsze mówiła, że ojciec tutaj mógłby załatwić podobny. No... Za tamten. A ojciec nawet palcem nie ruszył. Uparł się, że domek jemu niepotrzebny.
- I matka miała żal o to?
- A kto by nie miał? – Dziewczynie rozbłysły oczy. – Każdy by chciał mieć własny dom i nie gnieść się w takim śmierdzącym mieszkaniu jak nasze. Ale ojcu z tym dobrze, bo on taki flejtuch!
- A brat? Także chciałby mieć dom?
- On? – W głosie dziewczyny zabrzmiała najwyższa pogarda. – On taki sam jak ojciec. Na niczym mu nie zależy. Niczego nie uszanuje. Już mówiłam, że kradł we

własnym domu, nawet tę książeczkę...

Dziewczyna urwała, jakby spostrzegła, że mówi zbyt wiele, że odkrywa rzeczy, których ujawniać raczej nie powinna.

– Jaką książeczkę?

– No... PKO. Matki. Bo ona... – Gniew na brata zwyciężył widocznie narzuconą sobie ostrożność. – Mama zbierała na ten dom. Dla nas wszystkich. A ten złodziej...

– Dużo było pieniędzy na tej książeczce?

Twarz dziewczyny stała się w jednej chwili zamknięta.

– No... – zaczęła ostrożnie – Trochę tam było.

– Ale konkretnie?

– Nie wiem – wykręciła się od jasnej odpowiedzi. – Mama mi nie pokazywała.

– Nawet tobie?

– Nawet mnie. Ona była bardzo skryta. A już kiedy szło o pieniądze, to nikomu i słówka nie pisnęła.

– A brat? Nie wiesz czasem, co on chciał zrobić z tymi pieniędzmi? I jak by je podjął z książeczki?

– A tego to nie wiem. Ale z niego kombinator. I kolegów ma takich różnych... A potrzebne jemu były, bo chciał za granicę wyjechać. Do Szwecji.

– Do Szwecji? Po co?

– Chciał pojechać z wycieczką i zostać tam. Bo jemu się zdawało, że tam tylko czekają na takich durnych jak on, że zaraz się tam samochodu dorobi.

– Skąd wiesz?

– Mówił o tym. A najwięcej, jak taki jeden, brat jego kolegi ze szkoły, wrócił ze Szwecji z własnym „Volvo”.

– Pracował tam?

– Taka tam praca. – Skrzywiła usta pogardliwie. – Skończył polibudę, miał już inżyniera, a pojechał tam pracować u ogrodnika. Śmiałam się z Bolka, że on chce tak samo nawóz widłami roztrząsać i być za parobka.

– A brat?

– Do niego nic nie trafiło. On widział tylko ten samochód. Chociaż to był stary grat ledwie trzymający się kupy. Ale te szczeniaki były tak zachwycone, że każdemu z nich zaczęło się marzyć, żeby wyrwać się tam. Do Szwecji, znaczy się.

– I co? Przeszło mu to?

– A ja wiem? Zły był za te śmieszki i teraz nic już nie mówi.

– No tak... – Kapitan Doliński przyglądał się chwilę dziewczynie. – Podpisz protokół i możesz już iść.

Natychmiast poderwała się z krzesła. Przed opuszczeniem pokoju wróciła jeszcze przed biurko Dolińskiego.

– Panie kapitanie, pan nie zamelduje o mnie tym z obyczajówki? Prawda? Ja bardzo proszę...

– No... – Nadał swojej twarzy srogi wyraz. – To zależy od ciebie, mała. Od tego, jak się będziesz prowadzić.

– Dziękuję.

5.

Kapitan Doliński już dłuższą chwilę, w zupełnym milczeniu, przyglądał się człowiekowi, który siedział przed nim po drugiej stronie biurka. Był to mężczyzna wzrostu mniej niż średniego, bardzo szczupły, a właściwie porządnie wychudzony, o zapadłej klatce piersiowej – co było widoczne nawet pod płaszczem – i mocno przygarbionych, jakoś tak biernie opuszczonych ramionach. Siedział na wskazanym sobie krzeselku trochę boczkiem do obserwującego go oficera. W całej jego postawie widać było jakieś nieokreślone zmęczenie, a może po prostu pełne rezygnacji przygnębienie. Nie golone od kilku dni policzki, stara jesionka w jodełkę o postrzępionych rękawach, pogniecione i tak samo podniszczone spodnie, rozdeptane i ubłocone kamasje – wszystko to nasuwało myśl, że ten człowiek zupełnie nie dba o swój wygląd.

Kto wie? – pomyślał kapitan Doliński. Może nie tylko o wygląd? On sprawia wrażenie człowieka, któremu na niczym już nie zależy.

– No tak – powiedział głośno i pochylił się nad arkuszami protokołów przesłuchania młodych Pawelców.

Stary Pawelec drgnął, poprawił się na krześle, a spojrzenie jego oczu, bardzo niespokojne, rozbiegane, a jednocześnie napięte, spoczęło na dłoni oficera, trzymającej długopis.

Te jego oczy przypominają spojrzenie psa – natychmiast pomyślał kapitan Doliński. Takiego psa, który od swego

pana otrzymuje tylko kopniaki i wymysły. Tak... Ten facet musiał być w życiu porządnie skopany.

- Nazwisko? – rzucił głośniejsze.
- Franciszek Pawelec.

Głos mężczyzny był przyciszony, jakby jego właściciel bał się, że mówiąc głośniejsze przypomni o swoim istnieniu.

Ależ on jest zahukany – skomentował w myśli kapitan Doliński. Nawet teraz, tyle czasu po śmierci żony, nie potrafi się od tego uwolnić.

Kiedy wszystkie dane personalne zostały już starannie spisane, kapitan odchylił się do tyłu, opadając plecami na oparcie krzesła.

Znów, bez słowa, lustrował twarz i całą postać siedzącego przed nim człowieka.

Pawelcowi poczęło ciążyć to przedłużające się milczenie, gdyż chrząknął raz i drugi, poruszył się niespokojnie, a potem nagle się decydując, sięgnął do kieszeni płaszcza po papierosy.

Kiedy trzymał je już w dłoni, napotkał ostre spojrzenie kapitana Dolińskiego, rzucone spod gniewnie ściągniętych brwi.

- Nie wolno tu palić? – spytał, tym swoim stłumionym przez wieczne zalęknienie głosem.
- Nie.

Franciszek Pawelec posłusznie schował przy gniecionej paczuszkę „sportów”.

- Dlaczego pan tak długo zwlekał ze złożeniem meldunku o zaginięciu żony?

Pawelec rzucił szybkie, ukradkowe spojrzenie na twarz

przesłuchującego oficera, a potem opuścił je na swoje dłonie, ułożone płasko na kolanach. Przygarbił się przy tym i okłapł jeszcze bardziej.

– Pan kapitan podejrzewa, że to ja... że to ja ją zabiłem?

– Proszę odpowiadać na moje pytania – gniewnie prychnął Doliński. – To ja jestem od stawiania pytań, a nie pan. – Dostrzegł jednak wyraz popłochu na twarzy tamtego i dlatego dodał zupełnie już innym, łagodniejszym tonem: – Proszę zrozumieć... Na razie nikogo nie podejrzewamy. Na razie szukamy, staramy się znaleźć sprawcę śmierci pańskiej żony.

– Tak – poruszył głową Franciszek Pawelec. – Rozumiem...

– A więc? Dlaczego pan zwlekał?

Paweł milczał chwilę, jakby szukał odpowiedzi na to pytanie.

– Nie wiem – wybąkał w końcu.

– Jak to? Nie wie pan? Jak mam to rozumieć?

– Naprawdę, nie wiem. Ot jakoś tak...

– Człowieku... – Kapitan Doliński pochylił się do przodu i oparł łokciami o biurko. – Żona wychodzi z domu, nie wraca przez prawie dwa tygodnie, a pan nic. Nie bał się pan o nią? Nie pomyślał, że stało się jej coś złego?

– Nie.

Ta odpowiedź została wypowiedziana głosem zupełnie obojętnym. Wyglądało to tak, jakby Franciszek Pawelec mówił nie o własnej żonie, lecz o człowieku zupełnie obcym, znanym mu najwyżej ze słyszenia.

– Człowieku... – Kapitan Doliński należał do ludzi

impulsywnych i w tej chwili był bliski wybuchu. – Czy pan zdaje sobie sprawę?

Pawelec nie poruszył się nawet. A jego oczy, gdy spoglądał na zaczerwienione policzki oficera, były zupełnie puste.

Kapitan odsapnął i zastukał o blat biurka przyspieszonym werblem palców prawej dłoni.

I w tej samej chwili przypomniał mu się ten fragment meldunku sierżanta Antosiaka, w którym podawał on, że według opinii sąsiadów, małżeństwo Pawelców nie żyło ze sobą zbyt dobrze. A także zeznania ich syna, złożone w tym samym pokoju, na tym samym krześle.

– No, tak – westchnął ciężko.

Innymi już oczami patrzył na przygarbionego, nieśmiałego człowieczka siedzącego przed nim.

– Pańskie małżeństwo nie było zbyt udane, prawda?

W oczach Franciszka Pawelca pojawił się cień nikłego uśmiešku. A kapitan Doliński dostrzegł, że więcej w nim było smutku i gorczy niż rozbawienia.

– Bardzo delikatnie pan to określił, panie kapitanie. – Stary człowiek leciutko skłonił głowę. – Dziękuję.

Kapitan nie wiedział, jak ma skwitować ten gest i to słowo. W zetknięciu z tym tak niepozornym i zahukanym, a może tylko nieśmiałym mężczyzną zatracił zupełnie swoją zwykłą impulsywność. Zdawało mu się, że użycie w stosunku do Pawelca mocniejszego lub choćby tylko głośniejszego wypowiedzianego słowa byłoby tym samym, co pokrzykiwanie

na zastraszone albo skrzywdzone, niewinne dziecko.

– Hm... No tak... – Długo obracał w palcach długopis, szukając słów jak najmniej szorstkich. – Czy to znaczy...

– To znaczy, panie kapitanie – Franciszek Pawełci mówił to, patrząc prosto w oczy oficera. A jego cichy głos, w zestawieniu z treścią wypowiedzi, brzmiał zupełnie niesamowicie. – To znaczy, że myśmy się z żoną nienawidzili. Dosłownie nienawidzili.

Gdy skończył, odetchnął głębiej, a palce jego dłoni, spoczywających dotychczas na kolanach w bezruchu, zacisnęły się mocnym spłotem,, aż pobielaly kostki.

Jednak temu człowiekowi nie są obce ludzkie namiętności – stwierdził w duchu kapitan Doliński.

A tamten, po nabraniu głębokiego oddechu, co wyglądało zupełnie tak, jakby zamierzał dać głębokiego nurka pod wodę, mówił dalej, nie czekając na pytania oficera:

– Ja, panie kapitanie, nie jeden, i nie dziesięć razy życzyłem jej nagłej i niespodziewanej śmierci. I pragnąłem zgładzić ją z tego świata. Tylko...

Tu głos się załamał.

– Tylko, co? – kapitan. Doliński zadał to pytanie głosem pełnym napięcia, jak gdyby oczekiwał, że przesłuchiwany przyzna się w tej chwili do popełnionej zbrodni, a on będzie miał tę paskudną sprawę za sobą. Przystanie o niej myśleć i zapomni o istnieniu rodziny Pawelców.

– A nic, panie kapitanie. – W głosie przesłuchiwanego

zabrzmiała nutka żalu i gryzącej samoironii. – Po prostu odwagi zabrakło.

– Tak... – Znów taka chwilka, w której kapitan Doliński nie bardzo wiedział, jak się ma, zachować wobec tego człowieka.

– Tak, panie kapitanie – potwierdził Franciszek Pawelec. Być może wydało mu się, że przesłuchujący go oficer nie może w to uwierzyć. – Zabrakło odwagi. Zwyczajnie... Zabrakło.

Po raz drugi sięgnął do kieszeni po papierosy. A kapitan Doliński gotów już był, wbrew swoim niezłomnym zasadom, wbrew sobie samemu, pozwolić mu na palenie. Tamten jednak przypomniał sobie chyba jego ostrą reakcję za pierwszym razem, gdyż teraz nie wyciągnął nawet tej pogniecionej i przybrudzonej paczuski „sportów”. Jego dłoń cofnęła się szybko i spoczęła na swoim poprzednim miejscu na prawym kolanie.

Kapitan nie stawiał dalszych pytań. Siedzący naprzeciw mężczyzna budził w nim uczucie litości i irytacji.

– Pan kapitan na pewno chciałby wiedzieć – podjął Franciszek Pawelec – jak do tego doszło, prawda?

– Tak. To mogłoby rzucić jakieś światło... – podchwycił Doliński, rad, że tamten ułatwia mu sytuację.

– Właśnie. – Głowa Pawelca poruszyła się kilkakrotnie w geście, który miał oznaczać zrozumienie. – No więc tak... Pan już wie, że ja i moja... – Tu chwilka wahania, jak gdyby

opowiadający nie mógł się zdecydować na najprostsza w tym miejscu słowo. Jednak przełamał się. – I moja żona... urodziliśmy się i mieszkaliśmy przed wojną w Nowowilejce. To takie małe miasteczko pod Wilnem. Pan jest dużo młodszy ode mnie, ale chyba pan wie, jak ludzie żyli w takich miasteczkach. Człowieka oceniano nie według jego prawdziwej wartości, ale według tego, ile miał pieniędzy, jak się ubierał, jak mieszkał. Więc ludzie myśleli przede wszystkim o dorabianiu się, o gromadzeniu pieniędzy. Wszystko się robiło dla pieniędzy. Wszystko, panie kapitanie. I nasze małżeństwo też. Tu nie było żadnego gadania e miłości czy innych takich... Chodziło o interes. Zawarty zresztą bardziej pod naciskiem rodziców moich i jej, niż przez nas samych. Trzeba panu wiedzieć, panie kapitanie, że moi rodzice nie byli bogaci. Jej też nie. Mój ojciec, kolejarz, przez całe życie zgromadził tyle, że stać go było na kupno działki. Położonej mało atrakcyjnie, przy samych torach kolejowych, gdzie w dzień i w nocy hałasowały pociągi, i dlatego niedrogiej. No, ale zawsze... Tylko że już o budowie domku marzyć nawet nie mógł. A własny domek, panie kapitanie, to był cel całego jego życia. Własny domek to w oczach ludzi było już coś, to każdego wyносиło ponad szary tłum innych. No tak... A znów ojciec Stefanii miał pewną sumę pieniędzy, ale już nie stać go było na kupno ziemi. No... Teraz już pan wie, dlaczego myśmy się pobrali. A właściwie dlaczego ojcowie nas poženili. Dzisiaj może to wygląda komicznie i nieprawdopodobnie. Ona miała już lat osiemnaście, ja dwadzieścia dziewięć, a więc ludzie dorośli,

a tu... poženili ich na siłę. Tak. Tylko że w tamtych czasach było nie tak jak dzisiaj i dzieci długo bywały zależne od rodziców. A i posłuszeństwo większe też było... No tak...

Kapitan Doliński widział, jak lekki rumieniec pojawia się na zapadłych i przywiedłych policzkach Franciszka Pawelca i zdawał sobie sprawę, że ten człowiek od bardzo dawna, a być może nawet nigdy dotychczas nie mówił tak wiele i nikomu nie ujawniał tych spraw, tych wspomnień, które teraz niepowstrzymaną siłą cisnęły mu się na usta. Nie był tym zaskoczony, ani się też nie dziwił. Wiedział dobrze, że każdy człowiek przeżywa w swoim życiu przynajmniej jedną taką chwilę, w której musi mówić, w której musi zrzucić z siebie to wszystko, co dotychczas ugniatało go jak ciężki, coraz cięższy kamień.

– No tak... Tak właśnie my się pobrali.

Kapitan zauważył jeszcze jedno. Franciszek Pawelec, który dotychczas wyrażał się w sposób niewyszukany wprawdzie, lecz poprawny i pozbawiony jakichkolwiek regionalizmów, teraz, w miarę zapamiętywania się w swojej opowieści, coraz częściej zaczynał używać zwrotów i sposobu akcentowania tak charakterystycznych dla ludzi pochodzących z Wileńszczyzny.

– Ślub był w trzydziestym ósmym, panie kapitanie, a w sierpniu trzydziestego dziewiątego stanął nasz dom. Tak po prawdzie mówiąc to domek był niewielki i nie całkiem jeszcze skończony, ale przecież był. Własny. Tak jak wydumali sobie rodzice. A akuratnie pierwszego września,

jak się ta wojna zaczynała, urodził się nam syn. Mówię nam, bo do wojska wzięty nie był, znaczy już nie zdążył stawić się, gdzie tam należało, i w domu był. I tak już został, aż do czterdziestego czwartego, znaczy do zimy. Bo akuratnie wtedy zgłosił się, jako ochotnik – to ostatnie Franciszek Pawelec podkreślił z akcentem pewnej dumy – do polskiego wojska. Do Kościuszkowców, jak się wtenczas mówiło tam u nas. I już w listopadzie tego roku wyjechał na front, który akuratnie pod Warszawą stał. A ona, Stefania, sama została i z dzieckiem. Musiała do roboty pójść, a chłopiec, piąty rok już jemu było, często zostawał w domu sam jeden bez żadnej opieki. No i raz przyszło nieszczęście. Nikt nie wie, jak to się stało, pewnie dzieciak do zapalek się dobrał, dość, że w domu ogień... I w tym ogniu zgorzało wszystko. I dom, i syn, i nasze wspólne życie, które do tej pory choć bez wielkiego kochania, ale spokojne było i zgodne.

Franciszek. Pawelec automatycznym, bezwiednym ruchem sięgnął do kieszeni, w której, jak kapitan Doliński pamiętał, znajdowały się „sporty”.

– Proszę – powiedział szybko, chociaż bardzo był zły sam na siebie za tę słabość. – Może pan zapalić.

Tamten machnął jednak ręką i powrócił do poprzedniej pozycji.

– Co tam palenie... – powiedział, a w jego głosie było ogromne zmęczenie i zniechęcenie. – Żadne palenie nic

człowiekowi nie pomoże... No, tak... – I bez żadnego przejścia podjął przerwany wątek wspomnień: – W czterdziestym piątym, na wiosnę jakoś to było, wyszedł z wojska do cywila prosto ze szpitala. Już jako inwalida, znaczy. Próbował tu, próbował tam, aż na koniec zahaczył w Szczecinie. I tutaj też ona przyjechała. I już wtedy zaczęła to swoje: dom... dom... własny dom. Wojowałeś – mówi – krew przelewałeś, musisz mieć dom. A gdzie mnie tam było w tym czasie o domu myśleć. Prędzej już o tym na cmentarzu. Bo ledwo żywy był. A ona nic, żadnej w niej litości. I ani chwili spokojnej w mieszkaniu, tylko te wymówki o dom. Nawet nie o dziecko, panie kapitanie, tylko o dom, że jestem wojenny inwalida, że swój zostawił za Bugiem, że mi się należy i tak w kółko, bez żadnego zmiłowania. Później, kiedy już trochę wydobrzał, może i potrafiłby załatwić jakiś domek nieduży, to przecież było możliwe. Ale była już we mnie złość na nią, za to jej nieustanne trucie. I tak na przekór, na złość, nie robił nic, ręką nawet nie ruszył. Tak to, znaczy, zaczęła się wojna między nami. Ona naprzeciw mnie, ja naprzeciw niej. Tylko że ona zdrowa była, silniejsza... W końcu zawsze jej było na wierzchu. Mnie już nie wolno było ani kolegów spotkać, ani do związku na zebranie pójść, ani w święto jakie mundur włożyć i odznaczenia zawiesić. A już całkiem górę wzięła, kiedy do handlu się zabrała. Pan wie... Moja inwalidzka renta niewielka, a ona głowę do handlu miała i coraz więcej pieniędzy do domu zносиła. Teraz moje nic już nie znaczyły, teraz wszystko

było jej, ona wszystkim rządziła. A ja co... Co miał robić? Musiał, znaczy, siedzieć cicho, zamknąć gębę na kłódkę i cieszyć się, że całkiem z domu, jak ten pies, nie został wygoniony. No tak... Tak to było, panie kapitanie.

Franciszek Pawelec pomilczał chwilę, popatrzył na swoje dłonie, westchnął i dokończył:

– Tak, tedy, panie kapitanie – już się chyba wewnętrznie uspokoił, gdyż na nowo począł mówić bez żadnych „zabużańskich” pozostałości – proszą nie dziwić się, że wcale o niej nie myślałem, kiedy przez kilka dni nie było jej w domu. Ot, zupełnie jakby ktoś obcy i dokuczliwy wyjechał nareszcie i zostawił po sobie spokój. Nie było jej? To i chwała Bogu. Dopiero dzieci zaczęły się denerwować, chodzić, dopytywać u sąsiadów, u znajomych, a w końcu dali znać na komisariat. Taka jest prawda, panie kapitanie.

– No tak...

Kapitan Doliński zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnych podstaw, aby nie wierzyć temu człowiekowi. Dlatego miał już zamiar pozwolić odejść Pawelcowi, ale przypomniał sobie pewną wątpliwość, jaka nasunęła mu się w czasie, gdy tamten opowiadał swoją historię. Wówczas nie chciał mu przerywać, aby go nie spieszyć, ale teraz...

– Mówił pan – począł formułować tę myśl w formie pytania – o wyrobie swetrów. Czy to naprawdę tak bardzo opłacalne zajęcie?

– Jak dla kogo, panie kapitanie.

– Dla pańskiej żony. Chodzi mi o to, że... Wiemy już,

że pańska żona gromadziła fundusze na własny domek, prawda?

– Tak. Skąpiła nawet na utrzymanie dzieci, na jedzenie, na wszystko właściwie. Pan sierżant – Pawelec uczynił ruch głową w kierunku okna, pod którym urzędował Antosiak – był u nas w mieszkaniu. To widział, jak tam wygląda.

– To prawda – potwierdził tamten. – Niebogato tam u nich, obywatelu kapitanie.

– Czy żona zarabiała na tych sweterkach naprawdę aż tyle, że mogła uzbierać na własny domek? Czy miała z tego aż taki dochód?

– Panie kapitanie – na twarzy Franciszka Pawelca ukazał się cień uśmiešku – tak normalnie zarobek nie jest duży. Ale gdy się zakombinuje.

– W jaki sposób można tu kombinować?

– Bardzo prosto. Trzeba tylko do sweterków swojego wyrobu przypisywać takie, wie pan, znaczki z materiału z nazwą zagranicznej firmy. Najlepiej się to udaje na wyrobach z anilany. Idą jak woda, za podwójną cenę.

– Żona miała takie metki? Skąd?

– Nie wiem dokładnie. Pewnie od jakiejś marynarzowej.

– Ma pan w domu coś takiego?

– Tak. Jest tego cała masa.

– Ach, tak... – Kapitan Doliński zastanawiał się chwilę nad tą informacją, która mogła kryć nowe możliwości poprowadzenia sprawy we właściwym kierunku. – Dobrze. Dziękuję panu. To by było wszystko.

– To znaczy... – w głosie Franciszka Pawelca zabrzmiała większa jeszcze niż na początku rozmowy niepewność i jakby zakłopotanie. – To znaczy, że mogę sobie iść?

– Tak. Może pan iść. Trafimy do pana przecież, gdyby pan był jeszcze potrzebny.

– Tak. Oczywiście...

Franciszek Pawelec podpisał protokół sporządzony przez sierżanta, a potem drobnym, a jednocześnie pełnym wysiłku kroczkiem ruszył do drzwi.

Tam jednak zatrzymał się, odwrócił ku oficerowi i spojrzął na niego z lękiem, a może tylko nieśmiało.

– Panie kapitanie, ja chciałem... Czy pan jeszcze podejrzuwa, że to ja ją zabiłem?

– Nie – stanowczo odpowiedział kapitan Doliński. – Absolutnie pana o to nie podejrzewam.

Z całą świadomością podkreślił to przeczenie. Pamiętał przecież to napięcie w swoim głosie, gdy przez chwilę zdało mu się, że w odpowiedzi na rzucone przez siebie pytanie usłyszy przyznanie się do winy. A przecież już wtedy nie powinien mieć ani cienia tej nadziei. Nie powinien jej mieć, jeżeli był naprawdę tej klasy oficerem milicji, za jakiego się zwykł uważać. I dlatego ta odpowiedź miała być bardziej odpowiedzią dla siebie samego niż dla pytającego.

– Dziękuję.

Franciszek Pawelec uklonił się i opuścił pokój. Kapitan Doliński natychmiast przywołał do siebie sierżanta Antosiaka.

– Siadajcie i notujcie... Jutro rano udacie się do mieszkania Pawelców.

– Jutro jest niedziela, kapitanie.

– To pojutrze. Po pierwsze macie sprawdzić stan oszczędności Stefanii Pawelec. Wiem – kapitan uprzedził otwierającego już usta sierżanta – że obowiązuje tajemnica wkładów. I dlatego macie zwrócić się, najpierw do rodziny. Książeczka oszczędnościowa jest na pewno gdzieś w domu. Niech poszukają i pozwolą, wam zajrzeć. Jeżeli będą jakieś trudności, załatwimy, co trzeba, aby PKO ujawniło konto, które nas interesuje. Tak... Po drugie: poprosicie Pawelca, aby wam dał choćby jedną metkę fabryczną z tych, które przyszywali do sweterków. No... – Odsapnął. – To wszystko.

Zerknął na zegarek. Dochodziła trzynasta. A więc czas na jakiś posiłek w kantynie. I na piwo, oczywiście. Tak, piwo przede wszystkim, aby splukać z ust ten niesmak, jakim napełniły go rozmowy z rodziną Pawelców.

6.

Zaraz po śniadaniu żona zrzuciła szlafrok i przebrała się w sukienkę, zakładaną tylko w rzadkie świąteczne okazje. Potem starannie uczesała włosy, a nawet przeciągnęła szminką po wargach.

Kapitan Doliński, który obserwował ją ze swego ulubionego, wygodnego fotela, gdzie usadowił się z książką w rękę, nie wytrzymał i rzucił żartobliwe pytanie:

– Cóż tak się stroisz jak aktorka przed wyjściem na scenę?

– A żebyś wiedział, że czuję się jak aktorka, która ma pierwszy w swoim życiu występ.

Kapitan Doliński zerknął na zegarek.

– To coś... Zapal radio i niech się twój występ zacznie.

Żywo, ale z wyraźnym popłochem podeszła do radioodbiornika i włączyła go.

Stała chwilę, czekając, aż się aparat nagrzej i zabrzmi pierwszymi dźwiękami. Brakowało jeszcze kilku minut do czasu określonego w programie, więc, kiedy usłyszała słowa piosenki śpiewanej przez Irenę Santor, uregulowała siłę głosu i odeszła, aby usiąść na drugim, tak samo wygodnym fotelu.

Piosenka wreszcie się skończyła, spiker zapowiedział koniec audycji muzycznej i niemal natychmiast usłyszeli nową wypowiedź wypowiedzią» ną tym samym głosem:

– A teraz nasz cotygodniowy „Magazyn Wojskowy” zaprasza do wysłuchania reportażu... – tu padło nazwisko redaktora – noszącego tytuł: „Frontowe małżeństwo”.

Kątem oka dostrzegł, że żona poruszyła się i poprawiła okulary na nosie.

– W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym znalazłam się na terenie Związku Radzieckiego.

To był jej głos. Kapitan Doliński pamiętał doskonale, że redaktor wtedy, gdy ich odwiedził, nagrywał najpierw jego.

Pomyślał więc, że postąpił ładnie, pozwalając w audycji żonie wystąpić jako pierwszej.

– I kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku powstawała pierwsza polska dywizja, ja i wiele innych dziewcząt zostałyśmy powołane do polskiego wojska. Było to w maju. Jechałyśmy cały miesiąc do obozu sieleckiego. Obóz ten mieścił się nad Oką... nad rzeką Oką, w lesie. Było pięknie. Miałyśmy przygotowane już namioty. Postawili je mężczyźni, którzy przyjechali wcześniej od nas...

– Jako dżentelmeni... – to był głos autora audycji.

– Tak, jako dżentelmeni. Tak... Nasz teren bardzo ładnie udekorowali, dookoła namiotów miałyśmy porobione ścieżki, były kwietniki, powykładane różne dekoracje z kamyków i tłuczonej cegły... W każdym razie obóz naprawdę wyglądał cudownie. Przyznam się, że na początku podróży trochę popłakałyśmy. Miałyśmy przecież po siedemnaście, osiemnaście lat i jechałyśmy w nieznane. Było nam smutno, trzeba przyznać, ale... Jak przyjechałyśmy na miejsce, zapomniałyśmy o wszystkim. Zrobiło się jakoś weselej. Zaraz po przyjeździe, na drugi dzień, zostałyśmy umundurowane. Dostałyśmy mundurki, nawet zgrabne, spódniczki i buty i zapomniałyśmy już o rodzicach. Jakoś było nam raźniej. Później zaczęły się ćwiczenia. Były dość uciążliwe. Musiałyśmy pełzać, biegać za czołgami, a to nie było łatwe. Ale przyzwyczaiłyśmy się.

– Jednym słowem były to normalne wojskowe ćwiczenia.

– Tak. Do obiadu byłyśmy zajęte na ćwiczeniach, potem, po obiedzie, miałyśmy różne pogadanki. A z tymi ćwiczeniami też bywało różnie. Miałyśmy dowódcę, porucznika. Strasznie był ostry. Nie miał żadnej litości. Kiedy szedł z nami w pole, to nam dawał... no...

– W kość, tak?

– O tak, i to porządnie. Nieraz sobie nawet po cichutku popłakałyśmy. Ganiał nas okropnie. Kiedyś, pamiętam, wracałyśmy z ćwiczeń, w drodze złapał nas deszcz. Oczywiście, zaczęłyśmy biec. Chciałyśmy jak najprędzej znaleźć się w obozie. A porucznik kazał nam stanąć, w miejscu maszerować i do tego śpiewać. Płakałyśmy i śpiewałyśmy. Przemokłyśmy do nitki. Ale wracając do obozu wyschłyśmy po drodze i znów było wesoło, i znów było dobrze. A po trzech miesiącach przyszedł czas, kiedy pierwsza dywizja miała wyruszyć na front pod Lenino. Dziewczęta tworzyły trzy kompanie. Z tych trzech kompanii miała być wybrana jedna kompania wyborowa. Oczywiście, musiałyśmy przejść egzamin strzelecki. Dziewczęta, które najlepiej strzelają, miały być do niej wybrane. Do tej kompanii, oczywiście. Ja miałam wielkiego pietra, że tak powiem, ponieważ jestem krótkowidzem. Bałam się, że w ogóle strzelać nie potrafię. Okazało się, że miałam jednak bardzo dużo szczęścia. I byłam chyba nawet jedną z lepszych dziewcząt w strzelaniu. Na dziesięć strzałów, siedem do celu trafiłam. To, mam wrażenie, było bardzo dobrze.

I tak z tą pierwszą kompanią trafiłam na front.

– W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, po zakończonych działaniach wojennych, los rzucił wielu Polaków do Związku Radzieckiego...

Kapitan Doliński, mimo że już od dłuższej chwili oczekiwał tego momentu, drgnął nagle, kiedy usłyszał swój głos.

– Między innymi i ja się tam znalazłem. Do czterdziestego trzeciego roku przebywałem na północy, w okolicach Archangielska. W styczniu tego roku zostałem powołany do Armii Radzieckiej, gdzie byłem przez pięć miesięcy. I właśnie tam dowiedziałem się o tworzeniu pierwszej polskiej dywizji piechoty imienia Tadeusza Kościuszki powstającej na terenie Związku Radzieckiego.

Wielu z nas, i ja także, z wielką radością przyjęło wiadomość, że po tylu latach wojny tworzy się polska dywizja, która niewątpliwie weźmie czynny udział w walkach u boku Armii Radzieckiej przeciwko hitlerowskiemu najeźdźcy. I tak rzeczywiście się stało. W dniu trzydziestego kwietnia zostaliśmy zwolnieni do swoich miejsc zamieszkania, ja mieszkałem wówczas w dierewni Biereznik, i w kilka dni później dostaliśmy wezwanie do Wojenkomatu, gdzie wręczono nam karty powołania do polskiego wojska. Trzeciego maja parostatkiem „Maksym Gorki”, razem z kilkoma kolegami, pojechałem do Archangielska, stamtąd do Moskwy i z Moskwy bezpośrednio trafiliśmy na stację kolejową Diwowo, która położona była obok obozu sieleckiego. Dotarliśmy tam w nocy. Poczekaliśmy do rana na stacji, a

później drogą wykładaną kamieniami doszliśmy do Oki. Przeprowadzić się trzeba było promem, własnymi rękami, na linach metalowych. Gdy dostaliśmy się na drugą stronę, poszliśmy do obozu sieleckiego, w którym tworzyły się już pierwsze oddziały naszej dywizji. Ucieszyliśmy się bardzo, że po tylu latach tułaczki będziemy mogli walczyć za Ojczyznę. W obozie sieleckim, w jednym z baraków, ulokowała się komisja przyjęć. I ta komisja, po zbadaniu każdego z nas, kierowała według specjalności i stopni wojskowych do poszczególnych jednostek. Były to ciężkie dni. Trwały jeszcze prace nad porządkiem terenu i przygotowaniem pomieszczeń dla przybywających wciąż ludzi. Cóż, to były początki. Jednym z momentów, który utkwiał mi w pamięci, był dzień, gdy nadeszły pierwsze sorty mundurowe. Gdy założyliśmy te mundury i furażerki, gdy błysnęły na nich polskie orły, była radość i łzy płynęły z oczu niejednego z nas, żołnierzy. Tak... Potem nadszedł czas szkolenia, ciężko było wszystkim, a najciężej nowicjuszom, bo byli i tacy wojska nie znający, których szybko trzeba było przygotować na front. Potem nadeszła przysięga. Padły komendy... Zabrzmiał hymn polski, flaga poszła na maszt i znów komendy: „Kompanie, bataliony, pułki... do przysięgi!” Tak głośno myśmy przysięgali, żeby nasze głosy dotarły aż do Polski, żeby Polacy w kraju wiedzieli, że przysięgamy i ruszamy już na front. I tak rzeczywiście się stało. Pierwszego września otrzymaliśmy rozkaz wymarszu...

– Po całonocnym marszu musiałyśmy prędyutko, jeszcze przed świtem, okopać się, żeby nim zacznie się natarcie... żebyśmy były przed wrogiem, że tak powiem, schowane w rowach. Niezbyt były warunki łaskawe, bo deszcz padał całą noc, mżawka... Zaczęłyśmy kopać, dokopałyśmy do kolan, wystąpiła woda, stałyśmy w tej wodzie, ale serca miałyśmy na ramieniu. Wiedziałyśmy, że lada moment rozpocznie się natarcie. Więc na nic nie zwracałyśmy uwagi, prędko kopałyśmy, aby się jakoś schronić. I skoro świt rozpoczęło się natarcie. Co przeżyłyśmy to... to trudno opowiedzieć. Człowiek się nagle znalazł w prawdziwym piekle. Ogień, dym, jęki... Wprawdzie znajdowałyśmy się dwieście metrów od pierwszej linii, ale to było... to było coś okropnego. Nie do opowiedzenia! Siedziałyśmy skulone w tych rowach i każda drżała o... swoich najbliższych. Jedna tam miała ojca, inna brata, inna znów sympatię, i nie wiedziała, czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczy. Ja miałam brata, który był w drugim pułku. Jego kompania brała udział w natarciu. Modliłam się za niego i czekałam momentu, kiedy bój ustanie i kiedy będę mogła wyjść z okopu i dowiedzieć się, czy żyje. Pod wieczór ściągali rannych, wyszłam na drogę i szukałam jego... Czy będzie szedł, czy będą go nieśli, czy... Na szczęście szedł, żywy. Padliśmy sobie w objęcia, byliśmy bardzo szczęśliwi, że przeżyliśmy te ciężkie godziny.

– Czy on był wśród rannych?

– Nie. Nie był nawet ranny. Wycofano ich z linii, ponieważ kompania poniosła ciężkie straty. Ledwie go

poznałam. Był czarny jak kominiarz... Ale żył.

– Nie pamiętam dokładnie dnia, ale było to chyba dziesiątego. W południe wezwano oficerów na odprawę u dowódcy. Jedenastego wyruszyliśmy o zmroku, by zająć swoje stanowiska. Miejsce postoju mojego pododdziału było w wąwozie, czterysta do dwustu metrów, zależnie od kierunku, od jednostek wyjściowych do natarcia. Walka się rozpoczęła dwunastego. Około czterdziestu pięciu minut trwało przygotowanie artyleryjskie i potem nasze jednostki ruszyły do ataku. Straszne to były boje. Niemcy bronili się zążarcie. Ich samoloty runęły na tyły naszych jednostek, potem zaczęły bombardować pierwszą linię. Powstała lawina dymu, kurzu i pyłu. Od wybuchów bomb i pocisków artyleryjskich stało się ciemno. Nasi artylerzyści świetnie się spisywali. Widziałem, jak kilka samolotów zostało zestrzelonych. Bój trwał dwa dni. I trzynastego, o godzinie trzeciej w nocy, zostaliśmy zluzowani. Straty były duże. Straciłem kilku kolegów z drużyny. Po zakończeniu tej bitwy udaliśmy się na wyznaczone miejsce postoju pod Smoleńskiem. Przebywaliśmy tam kilka tygodni. Otrzymaliśmy uzupełnienie i powoli zaczęliśmy zapominać o ciężkich chwilach, o stratach, chociaż po kolegach żal w sercu pozostał.

– A w jaki sposób państwo poznaliście się?

– To było trochę zabawne. A stało się w wieczór sylwestrowy. My, dziewczęta, miałyśmy wziąć udział w oficerskim balu...

– Ale pan nie był oficerem...

– Właśnie. Nasze fizylierki stały w innej, sąsiedniej wsi. Na ten wieczorek przyjechały samochodami. Wie pan, jak to jest... Zlecieliśmy się wszyscy, aby choć na nie popatrzyć. Dziewczęta, te, które były z nami na froncie, teraz wystrojone, pięknie wypucowane buty, wyprasowane spódniczki, podmålowane lekko czerwonym papierem, bo szminek w tym czasie nie było...

– To nieprawda, nam papieru nie trzeba było. Miałyśmy po osiemnaście lat i byłyśmy jak róże bez malowania. No, ale mniejsza z tym. Cieszyliśmy się bardzo z tego, że nie tylko żołnierzami jesteśmy, ale możemy wystąpić w końcu jako damy... I potańczyć trochę, i pokazać się. Ja na tę zabawę byłam również zaproszona. Zaprosił mnie mój chłopiec, z którym miałam się bawić na tym balu. W pewnej chwili, podczas zabawy, został gdzieś odwołany, ja zostałam sama i wyszłam na dwór, żeby trochę ochłonać, bo tam wewnątrz duszno się zrobiło. I wtedy podszedł do mnie przystojny żołnierz i z miejsca, obcesowo, powiedział: „Smarkata, musisz być moja.” Cóż... Poderwałam głowę, aby mu ostro odpalić, ale spojrzałam akurat w jego oczy i... I tak rzeczywiście się stało, jak chciał. Do dziś dnia jesteśmy razem, ponieważ to jest mój mąż.

– Ślub się odbył na froncie?

– Nie. Dopiero po wojnie. Bo wkrótce po tym balu zostaliśmy rozdzieleni. Mnie przeniesiono do szkoły podoficerskiej, a potem do drugiej dywizji. Dopiero, po wojnie...

– Tak, ale to już jest inna historia, którą być może jeszcze kiedyś opowiemy naszym radiosłuchaczom.”

Po tych kończących audycję słowach redaktora żona zdjęła okulary, lecz nie ruszyła się z miejsca. Z takim samym skupieniem, jak całego reportażu, wysłuchiwała jeszcze zamykającej go wypowiedzi spikera i dopiero wtedy uniosła się z fotela.

Kapitan Doliński patrzył na nią, uśmiechając się, a ona dostrzegła to i odpowiedziała mu bardzo podobnym i bardzo serdecznym uśmiechem.

– Podać ci piwo? – spytała.

– Jeśli jesteś taka dobra.

Wyszła do kuchni wciąż z tym samym uśmiechem, wywołanym zapewne przez te wspomnienia z odległych, młodszych lat.

A kapitana Dolińskiego, gdy odprowadzał ją wzrokiem, nawiedziła nagła myśl, że na szczęście są na świecie nie tylko takie kobiety jak zamordowana Stefania Pawelec i nie tylko takie małżeństwa jak jej. Pomyślał sobie jeszcze, z dużą satysfakcją, że świadomość, iż istnieją takie kobiety i takie żony, jak jego własna, dodaje otuchy tak bardzo mu potrzebnej w ostatnich dniach.

7.

Kapitan Doliński siedział za swoim biurkiem pochylony nad rozłożonym planem miasta. Jego oczy nie widziały jednak w tej chwili ani niebieskiego pasma nurtu Odry, ani płataniny białych pasemek oznaczających ulice, ani nanie-sionych na nie czerwonych i błękitnych linii tras

tramwajowych i autobusowych, nie widziały zielonych plam parków, ogródków działkowych i miejskich lasów. Kapitan Doliński pogrążył się bowiem w głębokiej zadumie.

A nie była to wesoła zaduma. Mijał dzień za dniem, w różowej teczce z aktami przybyło jedynie trochę notatek służbowych, sprawozdań, raportów i protokołów, lecz samo dochodzenie nie posunęło się ani o krok. Nadal nie widział żadnego śladu, nadal nie miał w dłoni żadnej nici, która mogłaby go zaprowadzić do celu. Nie znał mordercy i nie widział motywów zbrodni. A przecież ludzi nie zabija się bez powodów. Nawet czynami wariata kierują jakieś ważne, choćby tylko dla niego, przesłanki i wystarczy je poznać, wystarczy zrozumieć ich specyficzną logikę, aby wiedzieć wszystko. W tym jednak wypadku nie było nic. Nie było żadnych przesłanek, nie było żadnej logiki.

Niemal codziennie plutonowy Bronisław Adamek składał, oczywiście na piśmie, meldunki o swojej i swoich ludzi działalności na turzyńskim targowisku. Przesłuchano wielu handlarzy, wielu innych pociągnięto za język nieoficjalnie i nieformalnie, przy piwie, czy nawet przy jednym i drugim setkowym, lecz jak dotychczas niewiele to wszystko przyniosło.

Ci ludzie, tworzący niezwykle solidarny i zamknięty klan, nie byli skłonni do wyznań nawet wtedy, gdy nie wiedzieli, że mają do czynienia z funkcjonariuszami służby śledczej. Ich życiowa zasada to nie mówić za wiele o interesach i nie wiedzieć za wiele o innych, zwłaszcza o tych,

którzy w taki czy inny sposób zniknęli.

Przyciśnięci przez ludzi plutonowego przyznawali się do znajomości ze Stefanią Pawelec, przeważnie jednak twierdzili, że była to wyłącznie znajomość z widzenia, z targowiska. Nic bliższego żaden z nich nie wiedział o tej kobiecie, żaden z nich nigdy nie załatwiał z nią żadnych interesów. W kilku tylko wypadkach indagowani powiedzieli coś więcej. Na przykład to, że Stefania Pawelec była bardzo pazerna na zarobek i gotowa do podjęcia każdego handlowego ryzyka, że przezywano ją „Pszczółka”, że często opowiadała, zwłaszcza przy kielichu, o własnym domku, w którym mogłaby zamieszkać na starość razem ze swoimi dziećmi.

Te słowa: „własny domek”, powtarzały się najczęściej w meldunkach składanych przez plutonowego Adamka i jego wywiadowców. I dlatego kapitan Doliński starannie podkreślał je czerwonym ołówkiem, a nawet wypisał dużymi, drukowanymi literami na specjalnym arkuszu papieru, który leżał na samym wierzchu akt sprawy i służył do zapisywania czynności, o których stale należy pamiętać.

Ile razy kapitan rozwiązywał tasiemki różowej teczki i widział te słowa, tyle razy umacniał się w przekonaniu, że to marzenie o własnym domku ma zasadnicze znaczenie dla całej sprawy.

Energiczne pukanie przerwało zadumę oficera.

Poderwał głowę. W ten sposób pukał tylko sierżant Antosiak. A jego zjawienie się mogło oznaczać jakieś nowe, może ważne informacje

– Tak! Wejść!

I rzeczywiście, ożywienie w oczach plutonowego mogło zwiastować tylko dalsze i pomyślne nowiny. I dlatego kapitan Doliński rzucił natychmiast pełne niecierpliwego oczekiwania:

– No? Gadajcie, co macie? Sprawdziliście stan oszczędności na książeczce Stefanii Pawelec?

– Jasne, że tak, obywatelu kapitanie.

– Mieliście trudności?

Nia, kapitanie. Żadnych. Książeczka PKO Stefanii Pawelec rzeczywiście znalazła się w domu. Jej mąż, to znaczy Franciszek Pawelec, pokazał mi ją, nie czyniąc żadnych przeszkód. Ustaliłem dzięki temu, że stan oszczędności zamordowanej wynosi... – Sierżant Antosiak, czując na sobie pełne oczekiwania spojrzenie szefa, otworzył notes i nie spiesząc się szukał odpowiedniej notatki. Jak zawsze, tak i te dane mógł swobodnie powtórzyć z pamięci, gdyż miał ją doskonałą, ale jeżeli szef tak bardzo lubi zapiski, to niech je ma. Niech sobie trochę poczeka na ich odczytanie. – Stan oszczędności zamordowanej – powtórzył – wynosi złotych pięć tysięcy sześćset dwadzieścia jeden i czterdzieści cztery grosze.

– Co? – zdziwił się kapitan Doliński. – Czterdzieści cztery grosze? Skąd? Nic się wam nie przekreśliło?

– Ani trochę, obywatelu kapitanie. To, po prostu, wynikało z dopisania procentu przez PKO.

– A niechże ich. Co za dokładność!

– Każdy wie, kapitanie, że PKO to firma solidna.
– Tylko nie agitujcie mnie tutaj za oszczędzaniem w PKO! – Kapitan Doliński sapnął z irytacją. – Ostatni wkład?
– Tego nie zdołałem ustalić. Książeczka jest nowa, niedawno wymieniona. Dokonano na niej tylko jednej operacji...

Sierżant Antosiak efektownie zawiesił głos.

– No! – fuknął gniewnie kapitan Doliński. – Nie zgrywajcie się. Już wam mówiłem, że tu nie telewizyjna „Kobra”, a wy nie jesteście aktorem w roli oficera dochodzeniowego. Jasne?

– Tak jest!

Mimo tej służbistej odpowiedzi widać było wyraźnie, że sierżant nie przejął się specjalnie wybuchem swego szefa. Znał go dość długo i wiedział, że lubi tego rodzaju pokrzykiwanie tak samo, jak skrzętne gromadzenie papierków w teczce prowadzonej przez siebie sprawy. Kapitan Doliński, mimo swojej okazałej tuszy i związanej z nią nieruchawości, wcale nie był pozbawiony temperamentu i od czasu do czasu musiał się jakoś wyładować. Choćby poprzez pokrzykiwanie na współpracujących z nim ludzi. Co wcale nie znaczy, że nie potrafił się złościć naprawdę. W prawdziwy gniew wpadał jednak bardzo rzadko i tylko wtedy, gdy stwierdził jakieś poważne zaniedbania w pracy. Tylko że wówczas kapitan Doliński nigdy nie krzyczał. Przeciwnie, mówił bardzo cicho, prawie szeptem, ale ci, którzy dobrze go znali, oblewali się zimnym potem ze strachu przed

konsekwencjami, które zazwyczaj były bardzo surowe.

– No więc? Gadajcie!

– Okazuje się, że Stefania Pawelec tego dnia, w którym została zamordowana, podjęła z książeczki dwa tysiące złotych.

– To wszystko?

Kapitan Doliński widział wyraźnie, że sierżant kryje *coś* jeszcze na koniec swego sprawozdania. A więc mogło to być coś istotnego.

– Nie. Franciszek Pawelec zeznał, że tamtego dnia, wychodząc z domu, zabrała sześć tysięcy złotych, które miała w mieszkaniu. To znaczy...

– Sam wiem, co to znaczy – przerwał sierżantowi kapitan Doliński.

– Tak jest. Przepraszam.

Sierżant ugryzł się w język. Powinien był pamiętać, że szef nie lubi, jeśli ktoś pozwala sobie na snucie domysłów z zebranego materiału. „Do wyciągania wniosków – powtarzał stale – jestem ja. A wy macie dostarczać mi informacji. Jak najwięcej informacji.”

– Taaak... – Kapitan Doliński opadł na oparcie swego szerokiego, wygodnego krzesła. – To znaczy, że Stefania Pawelec miała przy sobie tego dnia osiem tysięcy złotych. Taaak... Nie wiemy tylko, czy miała je jeszcze w chwili zabójstwa. Równie dobrze... – Westchnął z głośnym sapnięciem narastającej irytacji. – Niech to diabli! Właściwie ciągle jeszcze nic nie wiemy i ciągle błądzimy po omacku. Aha... A te metki firmowe macie?

– Tak jest. – Sierżant Antosiak wyjął spomiędzy kartek notesu kilkucentymetrowy skrawek barwnej tasiemki i po-
dał go kapitanowi. – To właśnie taka metka.

Kapitan Doliński położył skrawek na tafli szkła przy-
krywającej blat biurka i obejrzał go z zaciekawieniem.

– I pomyśleć – odezwał się sierżant – że taki
dwucentymetrowy paseczek przszyty do sweterka może
podnieść jego cenę nawet dwukrotnie. Niezły cwaniak mu-
siał na to wpaść. Taki, co to doskonale zna ciągotki naszych
paniów.

Kapitan Doliński nie zareagował na „filozofowanie”
swego podwładnego.

– Macie coś jeszcze? – uniósł głowę i spojrzał na sto-
jącego ciągle przed biurkiem sierżanta.

– Tak jest, obywatelu kapitanie. Po drodze wpadłem
do dyrekcji MPK, aby dowiedzieć się, czy przeanalizowali
już ten bilet tramwajowy znaleziony w torbie denatki.

– I co? – W głosie kapitana zadźwięczało zaintereso-
wanie.

– Bilet został wykupiony w dniu jej śmierci w tramwa-
ju linii numer pięć, kursującym z ulicy Ludowej w kierunku
Krzekowa, między godziną dziesiątą a jedenastą.

– Rano?

– Jasne. – Sierżant z wyrzutem spojrzał na swego sze-
fa, który przecież powinien był wiedzieć, że gdyby chodziło
o wieczór, powiedziałby między dwudziestą drugą a dwu-
dziesiątą trzecią. – Oczywiście, że rano.

Kapitan Doliński opuścił wzrok na plan miasta.

– Krzekowo – mruknął. – To znaczy w kierunku Pogodna. A bilet kolejowy do stacji Żelechowa został wykupiony tego samego dnia. I właśnie od stacji Pogodno. A więc?

Kapitan Doliński utkwiał teraz spojrzenie w twarzy sierżanta.

Antosiak odpowiedział jednak tylko porozumiewawczym uśmiechem. Wiedział doskonale, że na takie pytanie szef lubi odpowiadać sam.

– A więc wynikałoby z tego, że Stefania Pawelec koło godziny dziesiątej... rano – kapitan Doliński specjalnie położył nacisk na tym słowie, aby pokazać, że zauważył, iż sierżant był jego poprzednim pytaniem urażony – udała się tramwajem na Pogodno, a stamtąd pojechała pociągiem do Żelechowej. Wcześniej jeszcze podjęła z książeczki oszczędnościowej dwa tysiące złotych i zabrała z domu sześć tysięcy. To znaczy?

Sierżant znów odpowiedział domyślnym uśmiechem, dając szefowi do zrozumienia, że podąża za tokiem jego rozumowania i dochodzi do tych samych wniosków.

– To może znaczyć tylko jedno. Tego dnia Stefania Pawelec miała załatwić jakiś handlowy interes.

Kapitan Doliński znów utkwiał w twarzy sierżanta bystre spojrzenie.

– Jeden? – rzucił tonem agresywnym. – A może dwa? Co? Wszystko wskazywałoby na to, że dwa. Ale... Coś mi

się zdaje, że sprowadzały się one do tego jednego, najważniejszego. Tak. I zdaje mi się, że gdybyśmy wiedzieli, jaki to miał być interes, wiedzielibyśmy wszystko. Niestety...

Kapitan Doliński znów zajął się planem i dumał nad nim dłuższą chwilę.

– No nic – odetchnął głęboko. – Pójdziemy na razie inną drogą. Słuchajcie uważnie, Antosiak... Ale najpierw popatrzcie na ten plan.

Kiedy głowa sierżanta pochyliła się nad biurkiem, kapitan Doliński postawił wskazujący palec pod czarnymi literami tworzącymi napis: „Szczecin-Żelechowa”. W dwie strony od tego napisu ciągnęła się kręta czarno-szara linia oznaczająca trasę kolejowych torów. Nieco w lewo od niej widniała nieregularna zielona plama. Napis na niej głosił: „Park Brodowski”. Biała wstążeczka alejki związała się w pętlę i dotykała w pewnym miejscu do kółeczka z krzyżykiem, wskazującym na istnienie w tym miejscu kościoła.

– To tu? – spytał kapitan Doliński.

– Tak, kapitanie. Tam znaleziono ciało zamordowanej.

– To dlaczego w meldunku podano, że znaleziono je na cmentarzu, gdy z planu miasta wynika, że jest to park?

– Park... – skrzywił się sierżant. – To po prostu stary, nieczynny cmentarz. Daleko mu do prawdziwego parku. Zapuszczone to, zaniedbane. Tylko dzieciarnia tam grandzi i od czasu do czasu trafi się jakiś przechodzień.

– To mało ważne. – Machnął ręką zniecierpliwiony kapitan Doliński. Zniechęcenie i uczucie zmęczenia, jakie

go opadły przed kilkunastu minutami, teraz zniknęły bez śladu. Opanowała go nagle gorączka działania. Ta sama, jaką odczuwał zawsze, gdy natrafiał na jakiś nowy ślad. – Wracajmy do planu. Macie coś do pisania?

– Jasne, kapitanie.

– To notujcie. – Doliński poczekał, aż sierżant wyjmie z kieszeni notes i długopis. – Do tego cmentarza, czy parku, przylega ulica Żurawia, Szczerkowa, Ułańska, Pochyła i Obotrycka. Zapisaliście?

– Tak, zapisałem.

– Notujcie dalej. Pojechać do Żelechowej, spenetrować dokładnie wyżej wymienione ulice i w ogóle cały teren przylegający do cmentarza. Może wpadniecie na jakiś trop, który by wskazał miejsce, gdzie zostało popełnione morderstwo na osobie Stefanii Pawelec. Pamiętacie tę plamę od wapna na jej płaszczu? Zwróćcie uwagę na białe bramy, jakieś komórki, zresztą co ja wam będę tłumaczył. Dalej. Pogadać z dzieciarnią na tych ulicach. Pytać o sanki. Może komuś z nich zginęły. Może traficie w ten sposób na te, którymi przewożono ciało. Weźcie też zdjęcie Stefanii Pawelec. Pogadajcie z ludźmi, zwłaszcza z kobietami. Takie dzielnice, jak tamta, niewiele różnią się stylem życia od wsi. I na ogół wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. Może ktoś pozna Pawelec, może wskaże kogoś, do kogo przyjeżdżała, z kim prowadziła interesy. Jasne?

– Tak jest, obywatelu kapitanie.

– Nie zapomnijcie też pogadać w Komendzie Dzielnicowej. Wiecie... Chodziłoby o ludzi, z którymi Pawelec

mogła handlować. Rozumiecie?

– Oczywiście, kapitanie.

– To działajcie. Liczę, że wpadniecie na coś ciekawego. I jeszcze jedno. Weźcie samochód i przywieźcie mi tutaj Franciszka Pawelca. Będzie mi potrzebny na kilka minut do złożenia dodatkowych wyjaśnień. Tylko tego... grzecznie z nim. Przepróście za fatygę i tak dalej. Zrozumiano?

– Oczywiście.

– To walcie po niego, a potem bierzcie się za tamto.

Gdy sierżant Antosiak opuścił pokój, kapitan Doliński schował tasemkę z metkami fabrycznymi do niebieskiej koperty, sporządził dokładną notatkę – wyjątkowo osobiście, gdyż przecież nie dał na to Antosiakowi czasu – z informacji dostarczonych przez sierżanta, a w końcu zabrał się do systematycznej i uważnej lektury zgromadzonych w teczce materiałów.

Wprawdzie aktualny obraz sprawy i wszystkie jej, drobne nawet, szczegóły znał doskonale na pamięć, wychodził jednak z głębokiego przekonania, że nawet najlepsza, to znaczy jego własna, pamięć jest czasami zawodna. Natomiast nigdy nie zawodzi to, co już zostało zanotowane na papierze. Później udał się do bufetu na swój południowy posiłek i piwo.

Tam właśnie odnalazł go sierżant z wiadomością, że jest już Franciszek Pawelec.

Stary człowiek, gdy zobaczył kapitana, podniósł się z ławki i powiedział ze smętnym wyrzutem:

– A mówił pan kapitan, że mnie nie podejrzewa.
– I tak też jest. Proszę. – Otworzył drzwi do pokoju i puścił Pawelca przodem. – Proszę... Niech pan usiądzie. – Sam także usadowił się na swoim miejscu. – Chodzi mi tylko o pewne, dodatkowe, informacje. I zaraz sierżant odwiezie pana do domu.

Franciszek Pawelec skłonił lekko głowę, co miało chyba oznaczać jego zgodę na to nowe przesłuchanie.

– Zeznał pan dzisiaj rano naszemu funkcjonariuszowi, że pańska żona, wychodząc tamtego dnia z domu, zabrała ze sobą sześć tysięcy złotych.

– Tak, panie kapitanie. Tak właśnie było.

– Jest pan tego pewien?

– Tak. Widziałem na własne oczy, jak wyjmowała te pieniądze spod pościeli z szuflady komody.

– A czy pan wie, że tego samego dnia podjęła z książeczki PKO jeszcze dwa tysiące?

– Wiem, panie kapitanie. Ale wtedy nie wiedziałem.

– Tamtego dnia?

– Tak. Pamiętam, że rano wychodziła gdzieś i potem, jak wróciła, wzięła te sześć tysięcy i znów wyszła. I już nie wróciła... Tak... I dopiero jak ten pan sierżant przyszedł pytać o książeczkę PKO, zobaczyliśmy razem, że były wzięte z niej te dwa tysiące.

– Nie wie pan, do czego były potrzebne żonie te pieniądze? Miała coś kupić może? Albo przeprowadzała jakiś interes?

– Nie wiem, panie kapitanie. Ona nigdy nie opowiadała

w domu o swoich sprawach. Może starszej córce jeszcze... Ale mnie nigdy.

– To znaczy, że nic pan nie wie? Szkoda.

– Mogę się tylko domyślać, panie kapitanie, że chodziło o jakiś handel.

– Na czym opiera pan to przypuszczenie? – ożywił się natychmiast kapitan Doliński.

– Wszystko na to wskazywało. Od dwóch tygodni chyba częściej niż zawsze wychodziła z domu, często coś liczyła w tym swoim notesie, który zawsze nosiła przy sobie, była jakaś podniecona... Wie pan, ona koniecznie, za wszelką cenę chciała dorabiać się tego swojego wymarzonego domku. I dlatego gotowa była nawet na ryzykowne i, jak mi się widzi, nie zawsze czyste interesy. Czasami tak sobie myślałem, czy ona nie ma jakichś konszachtów z tymi, co walutą handlują albo z czymś takim.

– Na czym pan opierał te podejrzenia?

– Czy ja wiem? – zawahał się Franciszek Pawelec. – Widzi pan, panie kapitanie, mnie się często zdawało, że ona jednak za dużo zarabia jak na ten swój handelek swetrami, które robiłem, czy nawet zagranicznymi ciuszkami.

– Aha.. Czy zdarzały się wizyty ludzi, którzy... Pan mnie rozumie, prawda? Jacyś cinkciarze, obcokrajowcy, coś takiego?

– Nie. – Franciszek Pawelec zaprzeczył dość energicznie. – Jeżeli ktoś do niej przychodził, to tylko różne baby, takie same handlary jak ona. Czasami wpadła jedna albo druga marynarzowa... Więcej nikt. I zawsze chodziło o te

zagraniczne łąski. Parę sweterków, kilka koszul, wie pan, takich nonironowych... Nie zauważyłem nigdy, żeby o coś więcej.

– Marynarzowe... – w zadumie powtórzył kapitan Doliński.

– Tak, panie kapitanie.

– A... w ciągu tych ostatnich dwóch tygodni, wtedy, kiedy pańska żona była taka niespokojna, przychodziła któraś z nich?

– A tak... Nawet kilka razy...

– Zna pan nazwisko?

– Tak, panie kapitanie. Nazywa się ona Katarzyna Kabatek. Wiem nawet, że mieszka na Pogodnie, na Konopniczej...

– Na Pogodnie? – Kapitanowi Dolińskiemu natychmiast przypomniał się bilet tramwajowy i ten drugi, kolejowy, znalezione przy zamordowanej.

– Tak. Ale to bardzo porządna kobieta, bardzo elegancka i kulturalna...

– Rozumiem.

Kapitan Doliński odsapnął z zadowoleniem i ciężko podźwignął się z krzesła. To nowe nazwisko było przecież jakimś punktem zaczepienia. A jemu przecież o to chodziło. Wyszedł zza biurka i otworzył szafę stojącą obok okna.

– Pan pozwoli tutaj.

Franciszek Pawelec natychmiast poderwał się ze swego miejsca. Kapitan pokazał mu rzeczy znalezione przy zwłokach Stefani Pawelec.

– Proszę to obejrzeć uważnie.

– Tak, panie kapitanie.

– Czy to są przedmioty należące do pańskiej żony?

Franciszek Pawelec bez pośpiechu, sumiennie obejrzał leżące na polce drobiazgi.

– Tak, to wszystko jej. Tylko... – zawahał się.

– Tylko co?

– Nie ma tutaj tego jej notesu.

– Jest pan pewien, że miała go ze sobą?

– Musiała mieć. Zawsze nosiła go przy sobie.

– Jaki to był notes?

– Jaki?... Taki zwyczajny w czarnej, plastikowej okładce.

– Dziękuję. – Kapitan Doliński zamknął szafę. – Pie-niędzy, to znaczy tych ośmiu tysięcy złotych, także nie zna-leźliśmy. A także obrączki i pierścionka.

– Tak...

– Nie wie pan, czy żona czasem nie znała kogoś, kto mieszka na Żelechowej?

Franciszek Pawelec podniósł spojrzenie na twarz oficera. Był zaskoczony.

– Tak – odpowiedział. – Znała.

– Kto to?

– Taka... marynarzowa.

– Zna pan nazwisko?

Franciszek Pawelec pokręcił głową.

– Nie, panie kapitanie. Tego to nie znam.

Kapitan Doliński mierzył go przez chwilę pełnym su-rowej zadumy wzrokiem.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Dziękuję panu. To

by było wszystko.

– To znaczy... – w głosie Franciszka Pawelca brzmiała większa jeszcze niż na początku tej rozmowy niepewność i jakby zakłopotanie. – To znaczy, że mogę sobie iść?

– Tak. Może pan iść. Trafimy przecież do pana, gdyby pan był jeszcze potrzebny.

– Tak. Oczywiście... Tak jak dzisiaj...

8.

Tego dnia kapitan Doliński zasiadł za swoim biurkiem w bardzo złym humorze. Wrócił właśnie z narady u szefa, a każde takie spotkanie wprawiało go w stan głębokiej irytacji. Przede wszystkim dlatego chyba, że był zatwardziałym indywidualistą i każde ustawianie lub – jak to kpiąco określał – kolektywne prowadzenie za rączkę, natychmiast wytrącało go z właściwej mu na co dzień pogody ducha.

– Sam chyba wiem, co mam robić – złościł się często, nie przejmując się nawet obecnością zwierzchników. – A jeżeli nie wiem, to jestem wielkie de, a nie oficer służby dochodzeniowej. I wtedy trzeba mnie wylać na zbitą twarz i zastąpić takim człowiekiem, który będzie tę robotę znał lepiej niż ja. Tak to wygląda po mojemu. A wszelkie kolektywy, to tylko strata czasu i tchórzowska asekuracja na wypadek niepowodzenia. O! Wtedy kolektyw bardzo się przydaje, bo wina rozłazi się na wiele osób, co pojedynczego partacza chroni przed odpowiedzialnością.

– No – odpowiadał mu zwykle major Maciejak, jego bezpośredni przełożony – ale pamiętajcie, proszę, że stare i mądre przysłowie powiada, iż co głowa, to rozum.

– Aha – mruczał bez przekonania kapitan Doliński i, jeżeli działo się to podczas jakiejś z tak licznych narad lub odpraw, stawiał wniosek w sprawie formalnej: – Wnoszę o zakaz palenia na wszystkich naszych posiedzeniach.

Bo palacze tytoniu, obok wtrącających się do prowadzenia sprawy szefów, byli drugą zморą, w przenośni i dosłownie, zatruwającą kapitanowi Dolińskiemu długie godziny spędzane w gabinecie pułkownika Dowmina. Papierosy palili bowiem wszyscy bez wyjątku, chociaż ostatnio niektórzy, wzorem pułkownika, zaczęli kupować sobie fajki.

– Sherlocki Holmesy zakichane! – fukał ze złością, a po powrocie do swego pokoju czym prędzej otwierał szufladę, w której zawsze leżały przygotowane na taką okazję tabletki od bólu głowy.

Tego dnia było dokładnie tak samo. Wlokące się w nieskończoność roztrząsanie wszelkich aspektów sprawy zabójstwa Stefanii Pawelec, tumany gęstego dymu i w efekcie, oczywiście, ciężkie łupanie w głowie.

I to wszystko właśnie dzisiaj, gdy czekało go sporo pracy, gdy spodziewał się nowych danych od sierżanta Antosiaka.

Rano przyszedł do komendy pełen niecierpliwości, pełen oczekiwania na coś, co ruszy dochodzenie z miejsca.

I ledwie zdążył powiesić płaszcz na wieszaku, zadzwonił telefon.

Gdy podniósł słuchawkę, usłyszał w niej głos pułkownika Dowmina, który wzywał go do siebie.

– Chciałbym, abyście zreferowali stan dochodzenia w sprawie tego zabójstwa na Żelechowej.

Kapitan Doliński zaklął w myślach z nagłą złością, ale odpowiedział służbiście:

– Tak, obywatelu pułkownika. Już idę.

Wyciągnął z szuflady biurka tekturową teczkę i podźwi-gnął się ciężko ze swego wygodnego krzesła.

Przez cały czas, gdy szedł korytarzem do pokoju pułkownika, miał przykre uczucie, że teczka, którą niesie, jest rozpaczliwie cienka. Bo zgodnie z poglądami kapitana Dolińskiego im więcej znajdowało się w niej papierów, tym bliższe było zakończenie dochodzenia. Więcej raportów, zapisków i notatek – to, według niego, więcej informacji, a więc i większa możliwość wykrycia sprawcy zbrodni.

Z tym samym przygnębiającym uczuciem trzymał później nieszczęsną teczkę na kolanach, referując wszystko, czego dotychczas dokonał, pułkownikowi, majorowi Maciejakowi i trzem innym oficerom zaproszonym na tę naradę.

W dyskusji, jaka się później wywiązała, major Maciejak wyraził przekonanie, że zaginięcie owych ośmiu tysięcy złotych, które miała przy sobie Stefania Pawelec wychodząc z domu, a także złotego pierścionka z diamencikiem i złotej obrączki, wystarczająco wyraźnie wskazuje na typowe motywy

zabójstwa. A więc kapitan Doliński, jego zdaniem, powinien zakończyć pogoń za cieniami i energicznie zająć się prowadzeniem dochodzenia po wskazanej mu linii, skupiając wysiłki wszystkich zaangażowanych w tę sprawę ludzi na wytropienie sprawcy, a być może nawet sprawców tego niewątpliwie rabunkowego morderstwa.

Przez cały czas wywodów majora Maciejaka kapitan Doliński milczał uparcie. Milczał także i wtedy, gdy major skończył.

– Np i co? – zniecierpliwiał się w końcu pułkownik. – Co wy na to, kapitanie?

– Nic. – Kapitan Doliński wzruszył ramionami.

– Co to znaczy?

– Ta teoria o napadzie rabunkowym zupełnie mi nie odpowiada.

– Dlaczego?

Kapitan Doliński znów wzruszył ramionami.

– Po prostu argumenty majora Maciejaka nie trafiają mi do przekonania. Nie potrafię, niestety, uzasadnić tego przekonującymi kontrargumentami, ale mój nos mówi mi, że pies jest pogrzebany zupełnie gdzie indziej. A mój nos, jak wiadomo, jeszcze nigdy mnie nie zawiódł.

Któryś z obecnych parsknął kpiącym śmieszkiem, ale pułkownik uciszył wesołka, stukając ołówkiem o blat biurka.

Nie mógłby powiedzieć, że lubi kapitana Dolińskiego. Szczerze mówiąc, ten grubas bardzo często irytował go swoimi zbyt szczerymi wypowiedziami i dość oryginalnym

sposobem bycia, ale czy chciał tego, czy nie, musiał się pogodzić z faktem, że kapitan Doliński, mimo swoich dziwactw i wyskoków, mógł poszczycić się najlepszymi wynikami w pracy, że właściwie dotychczas nie zawalił ani jednej sprawy.

I dlatego jeszcze raz postukał ołówkiem o biurko, aby wygasić do końca wesołość tamtego oficera, i z pewnym ożywieniem zwrócił się do Dolińskiego:

– Macie jakąś inną teorię?

– Nie – zdecydowanym tonem odpowiedział kapitan, który nie cierpiał tworzenia jakichkolwiek teorii, dopóki nie rozporządzał odpowiednio bogatym materiałem informacyjnym. – Po prostu widzę w tej historii pewne, bardzo jeszcze cieniutkie, nitki, które prowadzą w zupełnie innym kierunku niż rabunek.

– Myślicie może o jej mężu, Franciszku Pawelcu? – zainteresował się pułkownik. – Bo z tego, co tutaj mówiliście, wynika, że on jeden miałby równie mocne jak rabunek motywy zabójstwa.

– Nie. To na pewno nie Pawelec.

– Dlaczego? – pułkownik, do którego Wyobraźni przemówiły zapewne zeznania tego człowieka, coraz wyraźniej zapalał się do nowej teorii. – Przecież jego motywy...

– Widzieliście tego Pawelca, pułkowniku? – niezbyt grzecznie przerwał zwierzchnikowi kapitan Doliński.

– Co to ma do rzeczy? – Pułkownik był niemile zaskoczony zachowaniem się swego podwładnego.

– A to, że Pawelec, gdyby nawet starczyło mu na to odwagi, w żaden sposób nie mógłby udusić swojej żony. Bo, pamiętać proszę, że ona została uduszona.

– Tak, ale nie rozumiem... – wtrącił się kapitan Borowiec.

– Kochany – Doliński z trudem zmusił się do zachowania spokoju. – Widziałeś zajęcia Stefanii Pawelec, prawda?

– Widziałem.

– Więc chyba rzuciło ci się w oczy, że był z niej, jak to ludzie mówią, kawał baby. Była to kobieta wysoka, tęga, mocna. A jej mąż nie widział ani obywatel pułkownik, ani nikt z obecnych tutaj.

– To prawda, ale nie widzę związku...

– Więc mogę wam powiedzieć – kapitan Doliński po raz drugi przerwał pułkownikowi, mimo iż zdawał sobie sprawę, że nie było to zbyt taktowne. Głowa bolała go jednak zbyt mocno i chciał jak najprędzej opuścić ten pokój. – Mogę wam powiedzieć, że Franciszek Pawelec to biedne i mizerne chuchro. Takiego mężczyznę, jak on, ta kobieta, bez żadnej przesady, mogłaby unieść jedną ręką za kołnierz i potraktować jak dokuczliwego psiaka. Tymczasem ona została uduszona. Stąd logiczny wniosek, że mógł to uczynić tylko ktoś znacznie silniejszy od niej. Żaden taki mizerek jak jej mąż, który zresztą, aby osiągnąć jej szyi,

musiałby wspinać się na stołek. Nie, pułkowniku, Franciszek Pawelec odpada zdecydowanie.

– Więc kto? – zdenerwował się major Maciejak. – Syn albo córka? Bo jakie jeszcze są możliwości?

– Nie wiem – zmęczonym głosem odpowiedział kapitan Doliński. – Jeszcze nie wiem.

– Jeszcze! – wykrzyknął major. – Już tyle dni biedzicie się nad tą sprawą i powiadacie, że nic nie wiecie.

– Nie powiedziałem – głos kapitana Dolińskiego stwardniał – że nic nie wiem. Powiedziałem, że jeszcze nie wiem, kto zamordował Stefanię Pawelec. Ale będę wiedział. I to już wkrótce.

I na tym właściwie skończyła się ta niezbyt, przyjemna narada.

Wracał do siebie w zdecydowanie pieskim nastroju, który pogłębił się jeszcze bardziej, gdy okazało się, że nie ma do tej pory sierżanta Antosiaka.

– No tak – pomrukiwał wściekły, mocując się z opornym celofanem, w który opakowane były tabletki od bólu głowy.

Wybrał od razu dwie, wrzucił je w usta i przełknął nie popijając, gdyż nie chciało mu się wychodzić po wodę.

Jeszcze nie zdążył usadowić się wygodnie na swoim krześle, gdy zastukano do drzwi głośno i natarczywie.

– Wejść!

Do pokoju wpadł sierżant Antosiak. W prawym ręku trzymał raportówkę, której na ogół nigdy nie używał, a jego twarz jaśniała zadowoleniem.

– Mam! – wykrzyknął od progu.

Kapitan Doliński złapał się za głowę.

– Ciszej, człowieku! Co tak hałasujecie?

Sierżant Antosiak, który doskonale znał zwyczaje i słabostki swego przełożonego, natychmiast domyślił się, że kapitan wrócił przed chwilą z jakiejś kolejnej narady, gdzie na pewno wiercono mu dziurę w brzuchu za brak wyraźnych postępów w dochodzeniu. Powtórzył więc znacznie ciszej:

– Mam, kapitanie!

– Co macie? – Oficer skrzywił się boleśnie. – Sprawcę zabójstwa może?

– Nie, kapitanie. Znalazłem miejsce, w którym dokonano morderstwa.

Kapitan Doliński natychmiast zapomniał o bolącej go głowie. To już było coś. To był już kroczek, a może i cały krok posuwający sprawę do przodu.

– Gdzie to jest?

– Na ulicy Szczerkowej. Stary, ponemiecki jeszcze bunkier, a może schron przeciwlotniczy, bo wygląda...

– Antosiak! – zniecierpliwiał się kapitan Doliński. – To wszystko zostawcie do raportu pisemnego, te wasze domysły i tak dalej. A teraz gadajcie to, co najważniejsze. A więc?

– Ten bunkier znajduje się niemal tuż przy cmentarzu, na którym znaleziono ciało. W pobliżu znalazłem dziurę w siatce ogrodzenia, o której meldował szef grupy operacyjnej.

Od niej jest jakieś trzysta metrów do miejsca, gdzie leżała Pawelec.

– Dobra. – Zainteresowanie kapitana nieco przygasło.
– A skąd wiecie, że to akurat w tym bunkrze ją uduszono?

– Po pierwsze – sierżant Antosiak był pewien swego i nie dał się zbić z tropu – że to tak blisko. Po drugie, taki bunkier to wymarzone miejsce dla przestępcy, po trzecie ściany wewnątrz bunkra pokryte są pobielonym tynkiem, który ze starości i od wilgoci porządnie się kruszy. A pamiętacie, kapitanie, że płaszcz Stefanii Pawelec był powalany wapnem albo czymś podobnym. Po czwarte...

– Czekajcie! – Kapitan Doliński ożywił się znowu. To wszystko wyglądało bardzo zachęcająco, a poza tym dawało mu okazję, aby po raz któryś utrzyć nosa tym zarozumiałym partaczom z grupy operacyjnej. Ból głowy zniknął natychmiast, gdy tylko pomyślał, jaką będzie miał frajdę przy najbliższym spotkaniu z ich szefem. Aż zatarł ręce z wielkiej uciechy. – Wzięliście próbkę tego tynku?

– Jasne, że tak. – Sierżant Antosiak poczuł się dotknięty. – Za kogo mnie macie, kapitanie?

– Dobra, dobra... Walcie dalej.

– Po czwarte, kapitanie, mam zeznanie pewnej kobiety, która mieszka w budynku znajdującym się niemal naprzeciwko wspomnianego bunkra. Otóż ta obywatelka stwierdza, że w dniu, w którym prawdopodobnie popełniono morderstwo, widziała Stefanię Pawelec w towarzystwie jakiegoś mężczyzny i kobiety. Weszli oni do bunkra.

– To na pewno była Stefania Pawelec?

– Pokazywałem zdjęcie. Ta obywatelka twierdzi, że się nie myli.

– To się działo w dzień?

– Nie. Zapadał już zmierzch, ale, podobno, nie było jeszcze ciemno. Dochodziła piętnasta trzydzieści.

– I obserwowała tamtych troje z okna swego mieszkania? Coś mi tu nie gra. Przecież musiała już chyba zapalić światło. A wtedy nie mogła widzieć, co się działo na zewnątrz...

– Nie paliła jeszcze światła, kapitanie. Pytałem ją o to. Zeznała, iż czekała na męża, a że nie miała już w domu nic do roboty, więc dla oszczędności nie zaświeciła lampy. Zresztą ona podobno lubi taki wczesny zmrok i zawsze wtedy wygląda przez okno na ulicę. I tamtego dnia tak samo...

– Tych ludzi, towarzyszących Stefanii Pawelec, nie zna?

– Nie. Chociaż wydaje się jej, że tę kobietę już gdzieś kiedyś widziała. Coś, jak zeznała, znajomego uderzyło ją w tej sylwetce. Rozpoznać jednak nie potrafi. Być może dlatego, że przyglądała się przede wszystkim Stefanii Pawelec. Że taka duża i tęga. Tu, powiedziała mi, kiedy ją wypytywałem na tę okoliczność, w naszej okolicy, żadna taka nie mieszka. Więc nią się zainteresowała.

– Szkoda, że nie tamtymi.

– Szkoda, ale cóż robić?

– To wszystko?

– Gdzie tam! – Sierżant Antosiak był w tej chwili

uosobieniem energii. – Mam jeszcze zeznanie takiego jednego chłopaka, któremu zginęły sanki akurat w tych dniach, kiedy dokonano morderstwa. Okazało się, że zostawił je, to znaczy sanki, na chwilkę na ulicy, koło tej dziury w siatce, bo mu się zachciało... No, musiał pójść na cmentarz, w krzaki, za potrzebą. Jak wrócił, sanek nie było. Pomyślał, że ktoś je ukradł. W domu wybuchła draka, ojciec zagroził chłopakowi laniem, jeżeli się sanki nie znajdą, więc on, ten maluch, zwerbował kolegów i rozpoczęli poszukiwania. I wiecie, kapitanie, gdzie się te sanki odnalazły? Właśnie w bunkrze.

– No tak... – Kapitan Doliński ciągle miał pewne wątpliwości. – Bunkier... Trochę to dziwne, nie uważacie?

– Co, kapitanie?

– No... W jaki właściwie sposób morderca zwabił tam Stefanię Pawelec? Po co i dlaczego tam za nim polazła?

– Sądzę, kapitanie, że... – Sierżant Antosiak, zadowolony z siebie, otworzył raportówkę i wyjął z niej pustą flaszkę z ozdobną nalepką. – Sądzę, że potrafię wam na to odpowiedzieć.

– Co to jest?

– Właśnie ta odpowiedź. Myślę, że dlatego właśnie oni tam wchodzili.

Kapitan Doliński, ciągle nie bardzo rozumiejąc, co sierżant ma na myśli, uważnie obejrzał butelkę, nieco dłużej zatrzymując wzrok na nalepce.

Nie znał się na zagranicznych trunkach. Pijał niewiele, nieczęsto i uznawał jedynie żytniówkę, i piwo, oczywiście.

Dlatego też, trącając przybrudzoną etykietkę palcem, spytał raz jeszcze:

– Co to jest, Antosiak?.

– Butelka, kapitanie.

– Nie małpujcie! – fuknął kapitan Doliński. Ból głowy nie pozostawił po sobie ani śladu i znów był w swojej najlepszej formie.

– Tak jest! – ochoczo odkrzyknął sierżant Antosiak, stukając obcasami; bardzo się cieszył, że szef jest wreszcie taki jak zawsze. – Znalazłem to w bunkrze, kapitanie. Jest to szklane opakowanie po koniaku marki „Chevalier de La Tour”. Zdążyłem się już rozpytać – dorzucił szybko uprzedzając pytanie kapitana Dolińskiego. – U nas nie sprzedaje się takiego koniaku. Natomiast często przywożą go marynarze. Bo jest, podobno, bardzo tani i za marny grosz mogą potem mydlić oczy różnym znajomkom w kraju zagranicznym trunkiem. Kupują go zwykle w rejsie powrotnym, na Kanale Kilońskim. Tam jest bowiem...

– Wiem, że tam jest strefa wolnocłowa i w związku z tym ceny są najniższe. Nie popisujcie się za bardzo.

– Tak jest – służbiście, ale z roześmianą twarzą odpowiedział sierżant Antosiak. – Dla pełnego obrazu dodam tylko, że podobno jest to trunek podłego gatunku. Sami pływający nazywają to „Śmierć marynarza” albo „Kawaler Denatur”.

Kapitan Doliński obejrzał uważnie flaszkę, nie dotykając jej jednak.

– Marynarze – prychnął, a w oczach jego była głęboka

zaduma. – Marynarzowe... marynarze... coraz ich więcej w tej całej historii. Czyżby to miała być ta potrzebna nam nitka? Jak myślicie, Antosiak?

– Myślę, że tak, kapitanie.

– Myślicie... – Kapitan Doliński otrząsnął się z zadumy i był znów zwierzchnikiem, który analizę materiału informacyjnego i wyciąganie wniosków lubi rezerwować wyłącznie dla siebie. – Zamiast bawić się w myślenie, zabierzcie mi sprzed oczu to szkło, dołączcie do niego próbki tyunku z bunkra i oddajcie to wszystko do laboratorium. Niech sprawdzą, czy Stefania Pawelec rzeczywiście tam mogła powalać płaszcz, niech stwierdzą, czy są jakieś odciski palców na butelce. Przede wszystkim niech szukają odcisków denatki.

– To wszystko, kapitanie?

– Wszystko.

Sierżant Antosiak wziął flaszkę za sam czubek szyjki i schował ją ostrożnie do raportówki. Odchodził już od biurka, gdy powstrzymało go wezwanie przełożonego:

– Antosiak...

– Tak, kapitanie?

– Piwo już piliście?

– Jeszcze nie.

– To wracając z laboratorium wpadnijcie do bufetu i wypijcie. Na mój rachunek. Należy wam się za dobrą robotę.

– Dziękuję, kapitanie.

– Tylko nie zapomnijcie o mnie. Przynieście tu jedno.

Kiedy sierżant wyszedł z pokoju, kapitan Doliński przymknął oczy, splótł palce dłoni aa brzuchu i popadł w głęboką zadumę.

Nie na długo jednak.

Już po kilku minutach poderwał się, wyciągnął z szuflady biurka teczkę z materiałami dotyczącymi zabójstwa Stefani Pawelec i niecierpliwymi, pospiesznymi ruchami począł rozwiązywać czarne tasiemki. Tak samo pospiesznie przerzucił kilka kartek. No tak – sapnął. Czyżby to miało być to?

Przysunął ku sobie aparat telefoniczny, znalazł w książce potrzebny numer i połączył się z centralą przedsiębiorstwa rybackiego.

Gdy usłyszał głos telefonistki poprosił o połączenie z kierownikiem biura załogowego.

– Chodzi mi o niejakiego Adama Czarnodoła – wyjaśnił. – Pracuje u was, prawda? Jest rybakiem.

– Zaraz sprawdzę. – Długie, nieznośnie wlokące się chwile oczekiwania. I w końcu znów ten sam głos „załogowego”: – Tak. To nasz pracownik. Pływa w tej chwili na „Czajce” jako starszy rybak.

– Jego adres?

– Chwileczkę. – Czekając na odpowiedź, kapitan Doliński sięgnął do szuflady po plan miasta. Zdążył go rozłożyć na biurku, zanim „załogowy” podniósł słuchawkę: – Szczecin... ulica Dębogórska...

– Dębogórska? – Kapitan Doliński pochylił się nad planem. – Zaraz... Nie orientuje się pan, gdzie to jest?

– Na Żelechowej – usłyszał informację. – Tamtędy przebiega trasa „szóstki”.

– Tak. Już mam.

Na Żelechowej... Na Żelechowej... Czy to tylko przypadek? A może...? Może nareszcie odpowiedź na pytanie, nad którym biedził się od tyłu dni, zastanawiając się, czego mogła szukać zamordowana kobieta w tej odległej dzielnicy?

– Jeszcze jedno pytanie, panie kierowniku. – Poczuję, jak na twarz występują mu kropelki potu. – Czy Adam Czarnodół ma rodzinę? To znaczy, czy jest żonaty?

Tym razem odpowiedź padła niemal natychmiast:

– Nie. Jest kawalerem...

– Na pewno?

– Absolutnie.

– I jeszcze... Czy jest na lądzie, nie wie pan? – Nie. Od trzech tygodni znajduje się w morzu.

– Aha... – Kapitan Doliński nie potrafił ukryć głębokiego rozczarowania. – Dziękuję panu, to by było wszystko.

Odkładał słuchawkę z przygnębiającym uczuciem poniesionej klęski.

A więc nie ma marynarzowej Czarnodołowej. Jego rozbudzone nagle nadzieje wzięły w łeb. Nadal otacza go ciemna próżnia, którą na oślep i, jak dotychczas, bez większego skutku obmacuje, nie bardzo wiedząc, od którego miejsca trzeba zaczynać.

9.

Jeszcze chyba nigdy kapitan Doliński nie spieszył się do pracy tak jak tego dnia.

Do swego pokoju wpadł zadyszany i spocony, gdyż po schodach pędził niemal biegiem, i nie zdejmując płaszcza dopadł biurka. Jedną ręką porwał słuchawkę telefonu; a wskazującym palcem drugiej wykręcił numer.

– Bufet? – wysapał, z trudem opanowując męczącą go zadyszkę. – Dajcie mi sierżanta Antosiaka.

Wiedział, że w tøj chwili może go znaleźć tylko tam. Jego żona wyjechała bowiem do rodziny i sierżant, nie umiejący poradzić sobie z przygotowaniem posiłków, od kilku dni stołował się w komendzie.

Czekając ze słuchawką przy uchu, posapywał wciąż jeszcze, ale już bardziej z irytacji niż ze zmęczenia.

A to bałwan – wymyślał sobie w duchu. Zidiociały kretyń! Tak się zasugerować określeniem marynarzowa...

Nie mógł sobie darować, że nie pomyślał, iż określenie to może być związane także z osobą dziewczyny, sympatii, narzeczonej lub kochanki. I dopiero wczorajsza wieczorna rozmowa z żoną... Co znaczy jednak kobiece podejście, kobiece spojrzenie na ludzkie sprawy. Ha! I na sprawy także.

W słuchawce coś zagrzechotało i zaraz potem odezwał się dziwnie zmieniony głos Antosiaka:

– Sierżant Antosiak przy aparacie. Słucham.

– Doliński... Co wy tak dziwnie mówicie? Zęby was bolą? – zaniepokoił się nagle, że teraz, kiedy tamten będzie mu tak potrzebny...

– Nie, obywatelu kapitanie... – Chwilka ciszy i sierżant mówił już normalnie: – Oderwałem się od jedzenia i tego... no... Nie zdążyłem przełknąć.

– Dobrze, dobrze, bo już się bałem... Słuchajcie, Antosiak, mam dla was pilne zadanie.

– Tak. Słucham.

– Pojedźcie zaraz, jak najszybciej, do przedsiębiorstwa rybackiego. Pogadacie, z kim się da. Od dyrektora do sprzątaczk. Udacie się też do portu rybackiego, do Domu Rybaka, pogadacie tam z ludźmi, z rybakami. Chodzi o informacje o starszym rybaku Adamie Czarnodole. Zapiszcie sobie...

– Tak jest. Chwileczkę... – Kapitan Doliński usłyszał szelest przewracanych kartek notesu i zaraz potem znów głos sierżanta mamroczonego do siebie: – Starszy rybak... Adam Czarnodół... Tak to brzmi, kapitanie?

– Tak. Pływa w tej chwili na lugrotrawlerze „Czajka”, jest na łowisku, gdzieś na Morzu Północnym pewnie. Mieszka na Dębogórskiej... – tutaj podał sierżantowi dokładny adres. – Zapisaliście?

– Tak jest.

– Jeżeli zajdzie potrzeba, pojedźcie i tam.

– Tak. – W głosie sierżanta pojawiło się wahanie. – A na jaką okoliczność mam wypytywać?

– Przede wszystkim na okoliczność kontaktów tego Czarnodoła z kobietami. – Kapitan podjął ten styl sierżanta, gdyż znał go dobrze i wiedział, że tego rodzaju służbowy żargon trafia do niego najlepiej. – To jest kawaler. Chodzi mi przede wszystkim, abyście się dowiedzieli, jakie ma znajome, z kim chodzi, z kim się spotyka, z kim śpi.

– Śpi? – spytał sierżant, aby się upewnić, czy przełożony nie żartuje czasem.

– Tak. Z kim śpi. To właśnie jest najważniejsze. Rozumiecie?

– To znaczy mam dowiedzieć się, czy on ma... narzeczoną?

Ta pauza potrzebna dla znalezienia właściwego, według pojęć Antosiaka, określenia, była bardzo dla niego typowa.

– Tak. Narzeczoną czy kochankę... Jej imię i nazwisko, adres... I jak tylko się dowiecie, dzwońcie zaraz do mnie. Będę cały czas przy telefonie. Jasne?

– Tak jest!

– No – sapnął. – To działajcie. Aha...

– Słucham, kapitanie...

– A to śniadanie jednak zjedzcie, zanim się zajmiecie kochankami Czarnodoła.

Odłożył słuchawkę i dopiero teraz zdjął płaszcz. Usiadł za biurkiem i sięgnął do szuflady po teczkę z materiałami dotyczącymi śmierci Stefanii Pawelec. Z każdą chwilą rośło ogarniające go zniecierpliwienie. Dotychczas czuł się jak ślepiec, obmacujący otaczającą go pustkę, i dopiero teraz, dopiero dziś, jego błędzące dłonie poczynęły natrafiać na

pewne, jeszcze nieokreślone, jeszcze wymykające się, ale realnie istniejące i coraz bliższe kształty. Zupełnie jak w grze w zimno i ciepło. Przedtem wciąż, po każdym kroku, musiał mówić sobie: zimno, zupełnie zimno. A teraz ten jego niezawodny nos, jego instynkt, będący wynikiem długoletniego doświadczenia, powtarzały, że jest ciepło, ciepło, coraz cieplej. I niecierpliwił się. Chciał działać.

Zadzwoił telefon.

Kiedy uniósł słuchawkę, usłyszał rzucone różnym tonem:

– Dzień dobry, panie kapitanie. Adamek się zgłasza.

Kapitan Doliński westchnął.

No właśnie. To cały Adamek. Ani śladu szacunku dla osoby przełożonego, ani śladu tej służbistości, która cechowała sierżanta Antosiaka i która była tak miła sercu kapitana.

– Halo! Jest pan tam?

– Jestem – odezwał się kapitan. – Dzień dobry.

– No... Nie za bardzo.

– Dlaczego? Na nic nie trafiliście?

Uwagę kapitana Dolińskiego zwrócił fakt, że prowadząc to dochodzenie coraz częściej natrafia na kontakty Stefanii Pawelec z różnymi marynarskimi żonami. W połączeniu z uprawianym przez nią handelkiem oraz z tymi sprowadzonymi z zagranicy firmowymi metkami nasuwało to podejrzenie, iż brała ona udział w różnych niezbyt czystych interesach. I dlatego polecił plutonowemu Adamkowi, by

zorientował się w środowisku cinkciarzy, czy ostatnio nie czynił ktoś większych zakupów zagranicznej waluty. Miał nadzieję, że w ten sposób odkryje jakiś ślad.

– Niestety.

– Adamek! – Kapitana Dolińskiego, który bardzo wiele obiecywał sobie po tych informacjach, zdenerwował niefrasobliwy ton głosu plutonowego. – Sądziłem, że można na was polegać.

– Panie kapitanie! – Wypowiedziane to zostało z wyraźną urazą. – Jedno jest pewne. To cholernie trudne i trzyające język za zębami środowisko. Wywąchałem jedynie, że pewnych danych zebrać się nie da.

– Dlaczego?

– Bo tylko frajer sam przeprowadza skup większej ilości dewiz. Normalnie to się robi bardzo dyskretnie, przy pomocy siatki pośredników. Wtedy nie zwraca się niczyjej uwagi i śladu żadnego nie ma. Chyba że – plutonowy urwał pod wpływem nagiej myśli. – Chyba że ktoś działa w pośpiechu, że nie ma czasu na organizowanie pośredników. Tylko że mała jest szansa, aby na to wpaść. Ci cinkciarze, kapitanie, potrafią milczeć.

– No, tak... – kapitan Doliński przeciągnął te słowa, aby zyskać na czasie, aby mieć chwilkę na podjęcie decyzji.
– Słuchajcie, plutonowy.

– Tak, słucham?

– Znacie ich trochę, prawda?

– Trochę.

Plutonowy Adamek był człowiekiem skromnym i o swoich różnych, często bardzo dziwnych, znajomościach nie

lubił mówić nikomu. Nawet szefowi.

– Znaleźlibyście tam jakiegoś... takiego bardziej miękkiego?

Plutonowy milczał chwilę. Pewnie się zastanawiał.

– To zależy – powiedział w końcu z wahaniem – jak chciałby pan na niego zadziałać.

– Prosto. Nawiążcie z nim kontakt. Ale już natychmiast. Powiecie, że chcecie kupić trochę dolarów. Niedużo, żeby nie zwracać uwagi. A wtedy zjawi się Antosiak i przyłapie was na tym handlu. To znaczy przyłapie tamtego, a wy uciekniecie. Bo po co macie się demaskować? Te wasze kontakty mogą się jeszcze przydać. Jasne?

– Jasne – bez większego przekonania odpowiedział plutonowy. – Ale...

– Gdzie będziecie? – niecierpliwie przerwał mu kapitan Doliński.

– Pod Bankiem Pekao. Gdzieś tam w pobliżu. Kiedy może być Antosiak?

– Jeszcze nie wiem. Zadzwońcie za godzinę. A tymczasem motajcie ten handelek.

No cóż... Teraz mógł tylko czekać.

Pochylił się nad otwartą teczką, bardzo uważnie przeglądał wszystkie materiały, jakie dotychczas udało mu się zgromadzić. W końcu nie mógł już usiedzieć na miejscu. Schował więc akta do szuflady i poszedł na dół, do bufetu, na piwo.

I tam odnalazł go telefon sierżanta.

– Już ją mam, kapitanie. – Antosiak był zadowolony. – Tę babkę, z którą ten Czarnodół...

– Pięknie – uciał kapitan Doliński. – Nie bawcie się w ploteczki. Imię i nazwisko? Adres?

– Już się robi, kapitanie. – W słuchawce dał się słyszeć szelest przewracanych kartek. – A więc tak... Brzoza Karolina, zamieszkała przy ulicy Działkowej numer... To jest na Żelechowej, kapitanie.

Na Żelechowej... Kapitan Doliński odetchnął głęboko.

– Dobra. Spisaliście się świetnie.

– To wcale nie było takie trudne, kapitanie. Rozpytywać dalej o tego... Czarnodoła?

– Nie. Teraz nie. Mam dla was inne zadanie.

– Słucham, kapitanie...

– Gdzie teraz jesteście?

– W Domu Rybaka.

– Dobra Czekajcie tam. Przyślę wam wóz i...– Tutaj kapitan Doliński dokładnie poinstruował sierżanta, w jaki sposób ma sprowadzić do komendy cinkciarza wytypowanego przez plutonowego Adamka.

Zadowolony ze swoich ludzi i pełen niecierpliwego oczekiwania wrócił do swego pokoju.

Zaledwie usiadł za biurkiem, odezwał się telefon.

To był plutonowy Adamek.

Przekazał mu informację, że sierżant już za kilkanaście minut zjawi się pod Bankiem Pekao, i spytał:

– Namotaliście kogoś?

– Tak, kapitanie. Taki jeden student, początkujący w tym fachu.

– Student?

– Tak, a bo co? – W głosie plutonowego czuło się rozbawienie wywołane zdziwieniem zwierzchnika. – Jak się nie ma nadzianych starych i żyje z samego stypendium, a ma się ochotę na jakiś ubaw od czasu do czasu, to trzeba jakoś kombinować. No nie? A zresztą... To powinno być panu na rękę. Taki, co to mu jeszcze na czymś zależy, nie będzie się zbyt twardo stawiać.

– Dobra. Działajcie.

Nie musiał długo czekać.

Tym razem plutonowy i sierżant działali sprawnie. Po półgodzinie, Antosiak, jeszcze z paskiem pod brodą, stanął przed biurkiem kapitana.

– Jak poszło?

– Mamy go.

– To dawajcie tu. A gdzie Adamek? – powstrzymał sierżanta, który już robił dziarski zwrot ku drzwiom.

– Na pewno w bufecie. Żeby temu tu... – ruchem głowy wskazał drzwi – w oczy nie włożyć.

– Dobra.

Kapitan Doliński podniósł słuchawkę telefonu. Połączył się z kantyną i przywołał plutonowego Adamka.

– Słuchajcie, plutonowy. Tym samym wozem pojedziecie na Żelechową do mieszkania dziewczyny Czarnodoła. – Podał nazwisko i adres. – Wpadnijcie także do, tamtej kobiety... pamiętacie?

– Tak jest. Wiem.

– Postarajcie się, żeby zobaczyła dziewczynę i stwierdziła, czy to ta sama, w której towarzystwie Stefania Pawelec wchodziła do bunkra.

– A jeżeli Brzozy nie będzie w domu, jeśli będzie w pracy?

– To udacie się do zakładu. I sprowadzicie ją tutaj. Tylko, wiecie... dyskretnie. Wymyślcie sobie po drodze jakiś pretekst, bo nie mamy jeszcze żadnych podstaw, aby ją traktować jako podejrzaną. Jasne?

– Tak jest.

– To działajcie. – I odkładając słuchawkę zwrócił się do sierżanta Antosiaka: – Dawajcie tego cinkciarza.

Po chwili przed biurkiem kapitana Dolińskiego stanął młody człowiek ubrany w granatową, ortalionową kurtkę z barwnym szalikiem pod szyją, w powycieranych i wypłowiałych dżinsach wpuszczonych w cholewki kozaczków na baranku.

Sierżant Antosiak położył przed kapitanem dokumenty zatrzymanego, płaski portfel i oddzielnie dziesięć jednodolarowych banknotów oraz kilka bonów Banku Pekao.

– Siadajcie – powiedział kapitan, kiedy sierżant opuścił pokój.

– Dziękuję.

Młody człowiek nie wyglądał na speszzonego.

– O co tu chodzi, panie kapitanie? – Usiadł na wskazanym krześle, swobodnie zakładając nogę na nogę. W głosie jego brzmiało szczere oburzenie. – Dlaczego mnie tutaj ściągnięto?

– Nie wiecie, dlaczego?

– Jasne, że nie, panie kapitanie. To nie jest w porządku! Zabierać człowieka z ulicy bez żadnego powodu.

– A to? – Kapitan Doliński wziął w palce dolarowe banknoty. – To wam nic nie mówi?

– To? Żadne przepisy nie zabraniają mieć obcej waluty.

– Nie. Nie zezwalają jednak na prowadzenie handlu tą walutą. Prawda?

– Prowadzenie handlu? – Młody człowiek mógłby być niezłym aktorem. – Jakiego handlu? Kto handlował walutą?

– Przecież nie ja – kapitan Doliński miał już dosyć tej zabawy w ciuciubabkę. – Przyłapano was w chwili, gdy usiłowaliście sprzedać te dolary.

– Sprzedać? Panie kapitanie?

– A co robiliście z tamtym nieznajomym w bramie?

– Panie kapitanie! Gość chciał papierosa zapalić i nie miał ognia. A na ulicy wiatr, więc weszliśmy do bramy. Jak babcię kocham!

– To dlaczego próbowaliście ucieczki na widok sierżanta?

– To tamten gość. Nie ja. W żaden handel walutą pan mnie nie wrobi, panie kapitanie. To się panu nie uda. Nie ma pan żadnych dowodów, żadnych świadków.

– A tamten nieznajomy?

– Macie go także? – W głosie cinkciarza po raz pierwszy pojawił się zrodzony nagle niepokój.

Umilkł i z rosnącym napięciem wpatrywał się w twarz kapitana Dolińskiego, który nie odpowiedział na jego pytanie, zajęty przeglądaniem dokumentów.

– No, dobrze – położył przed sobą legitymację studencką. – Do rzeczy.

– Przecież ja... – Młody człowiek nerwowym ruchem sięgnął do kieszeni po papierosy.

– Nie palić! – ostro ofuknął go kapitan Doliński, v I proszę słuchać uważnie.

Tamten nie odpowiedział. Zawisł tylko pełnym niepokoju spojrzeniem na swojej legitymacji leżącej tuż przy prawej dłoni kapitana Dolińskiego.

– Nikt tu nie chce wrabiać was w handel walutą...

– Więc o co chodzi?

– O kilka potrzebnych nam informacji.

– Informacji? – Niepokój w głosie cinkciarza był teraz wyraźniejszy. – Jakich?

– Chcemy wiedzieć, czy w ostatnim okresie, w ciągu czterech, pięciu tygodni, dokonał ktoś większego zakupu dolarów. A dokładniej, czy nie było takiego zakupu na sumę ośmiu tysięcy złotych?

– Ośmiu... – niemal wykrzyknął młody człowiek i po chwili dokończył zdławionym nagle głosem – tysięcy?

– Tak. Wiecie coś o tym?

Tamten milczał, pustym wzrokiem gapiąc się w bok, w szare zimowe niebo za szybami okna.

– No, jak? Odpowiadajcie.

Młody człowiek potrząsnął głową. Już się opanował.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi. Ja nigdy...

– Dość tych bajek – ostro przerwał kapitan Doliński. – Zostaliście zatrzymani na gorącym uczynku. To raz. A dwa,

to fakt, że wiemy, iż nie jest to wasz pierwszy handelek. Więc jak? – Nie wiem, czego pan chce ode mnie.

– Nie chcecie mówić? Trudno. – Kapitan Doliński wziął do ręki studencką legitymację. – No cóż... Może i nie uda się udowodnić wam tego handlu, ale... – rozmyślnie uczynił małą pauzę – ale tak czy owak będę musiał zawiadomić uczelnię, że zostaliście zatrzymani pod zarzutem...

– Pan nie robi mi tego! – krzyknął chłopak.

– Powiniennem to uczynić. – Kapitan Doliński położył legitymację na pozostałych papierach. – Ale... mógłbym z tego zrezygnować...

Tamten milczał.

Siedział przygarbiony, z nisko opuszczoną głową, a kapitan Doliński, obserwując go, myślał, że naprawdę powinien przekazać tego młodego człowieka kolegom zajmującym się sprawami waluciarzy. Żał mu go jednak trochę było, a poza tym zdawał sobie sprawę, że w świecie cinkciarskim jest to mizerna płoteczka, której ewentualne aresztowanie niczego nie zmieni, a zaszkodzi tylko temu chłopakowi. Kto wie, czy nie na całe życie nawet. Dzisiejsza historia powinna go wystraszyć na tyle, że chyba zrezygnuje z tego sposobu zarobkowania – rozmyślał. Widać, że jednak na studiach zależy mu przede wszystkim.

Młody człowiek uniósł głowę.

– Niech będzie – rzucił z westchnieniem. – Ale da mi pan słowo, że nie będzie mnie więcej ciągał za to? I że nikt, ale to nikt się nie dowie o tym, że tutaj gadałem?

– Dobra. Nikt się o tym nie dowie – kapitan Doliński celowo pominął pierwsza pytanie. Żadnym słowem nie mógł się wiązać. I nie miał na to ochoty. Bo z takimi szczeniakami nigdy nic nie wiadomo. – Gadaj śmiało.

– No więc... – Tamten wyraźnie odprężył się, bo nawet zdobył się na uśmiech. – Miał pan wyjątkowe szczęście trafiając na mnie.

– To znaczy?

– To znaczy, że to ja sprzedałem te dolary za osiem tysięcy.

Kapitan Doliński oniemiał.

Takiego zbiegu okoliczności nie mógł się spodziewać nawet w najśmielszych swoich marzeniach. Oprzytomniał jednak bardzo szybko.

– Kiedy to było?

Młody człowiek zastanawiał się chwilę, zanim wymienił datę.

To był właśnie ten dzień, w którym Stefania Pawelec z kwotą ośmiu tysięcy złotych wyszła z domu, aby już więcej do niego nie wrócić.

– Komu je sprzedaliście?

Młody człowiek wzruszył ramionami.

– Nie wiem – powiedział. – Chyba pan rozumie, że ja w tym całym interesie jestem tylko maleńkim kóleczkciem. Ot, taki zwyczajny konik, którego nikt nie zamierza wtajemniczać w istotę rzeczy.

– I co z tego?

– A to, panie kapitanie, że po prostu nic nie wiem. Naprawdę. Powiedziano mi, że takiego a takiego dnia mam w

takim i takim miejscu spotkać się z określoną osobą, wręczyć jej powierzone mi dolary i pobrać osiem tysięcy złotych. To wszystko, co wiem.

- Kto to był?
- Jakaś kobieta.

Kapitan Doliński pomyślał przede wszystkim o Karolinie Brzozie, a zaraz potem o Katarzynie Kabatek.

- Młoda? Ładna? Jak ubrana?
- Ani młoda, ani ładna, panie kapitanie. Wyglądała na starą handlarę.
- Handlarę?

Kapitan Doliński sięgnął po tekturową teczkę z aktami sprawy i wyjął z niej zdjęcie Stefanii Pawelec.

- Ta?

Młody człowiek natychmiast uczynił potakujący ruch głową.

- Ta.
- Na pewno?
- Na pewno.
- No tak... – Kapitan Doliński jeszcze nie bardzo się orientował, co nowego do prowadzonego dochodzenia wnoszą te informacje. – Gdzie ją spotkaliście?

– Na przystanku piątki. Wie pan, tam, gdzie skręca w ulicę Mickiewicza. Obok, na rogu Wawrzyniaka, jest stacja benzynowa.

- Tak. Wiem.

Zastanawiał się chwilę, patrząc na leżące przed nim zdjęcie Stefanii Pawelec.

- No tak... To by było wszystko.

Tamten natychmiast poderwał się z krzesła.

– Więc mogę już iść? – Kapitan Doliński zawisł na jego twarzy ciężkim spojrzeniem. – Obiecał pan przecież...

– Tak. Obiecałem. – Przesunął dokumenty chłopaka na brzeg biurka. – Zabierajcie to.

– A dolary? – W głosie tamtego pojawił się niepokój. – Chce je pan skonfiskować? Miałbym kłopoty. Pan wie... To przecież nie moje.

– Zabierajcie wszystko. I radzę wam skończyć z tym cinkciarstwem. Nie chciałbym was widzieć tutaj po raz drugi, bo wtedy...

– Ja też, panie kapitanie – gorąco zapewnił tamten.

– Zastanówcie się dobrze, czy warto ryzykować całą swoją przyszłość dla tych dzisiejszych zarobków. Zastanówcie się dobrze, młody człowieku. I wycofajcie się z tego, zanim nie wleźliście w to zbyt głęboko. A teraz jazda stąd!

Tamten w jednej chwili zniknął z pokoju.

Tymczasem kapitan Doliński opadł plecami na oparcie krzesła, zamknął oczy, splótł palce dłoni ułożonych wygodnie na okrągłości brzucha i pogrążył się w zadumie.

Zastanawiał się, czy dobrze zrobił puszczając tego chłopaka, bo przecież nie miał żadnej pewności, że tamten wyciągnie właściwą naukę z dzisiejszego wydarzenia. Potem pomyślał o swoim synu, który jest przecież w tym samym wieku. A na koniec przyszła refleksja, że znów zadziałał nieformalnie, narażając się na podpadnięcie u szefów. Bo jednak powinien był...

Rozmyślenia te przerwało pojawienie się sierżanta Antosiaka.

- No i co? – poderwał głowę kapitan Doliński.
- Jest Karolina Brzoza. Adamek zastał ją w domu.

Okazuje się, że ona nigdzie nie pracuje.

Kapitan poprawił się na krześle.

- Dobrze. Tamta kobieta widziała ją?
- Niestety.
- Dlaczego?
- Mieszkanie było zamknięte. Sąsiadki powiedziały, że pojechała po jakieś zakupy do śródmieścia i nieprędko wróci. Więc Adamek nie czekał...

– Dobrze – przerwał mu kapitan Doliński. – Dawajcie tę Brzozę.

Kobieta, która po chwili weszła do pokoju, wyglądała niemal dokładnie tak, jak ją sobie kapitan Doliński wyobrażał. Ubrana elegancko, przeważnie w zagraniczne łaszki, ale o jeden ton, także trudny do uchwycenia dla takich ludzi jak ona, za bogato, za krzykliwie, bez żadnego szyku. Młoda i ładna, ale tą urodą za bardzo rzucającą się w oczy, zbyt wyzywającą. Kapitan Doliński wiedział, że wielu mężczyzn pociągają tego rodzaju kobiety.

I jeszcze jedno. Karolina Brzoza była także bardzo pewna siebie. Tylko że i ta pewność była przesadzona, można powiedzieć, zwulgaryzowana, przeradzająca się w prymitywny tupet.

Tego tupetu rzeczywiście jej nie brakowało, gdyż z miejsca ruszyła do ataku:

- Panie kapitanie, ja sobie wypraszam. Zabierają mnie

z domu nie wiadomo z jakiej przyczyny, ale cóż... przyjeżdżam. Jednak chyba mam prawo...

– Proszę siadać – dość szorstko przerwał kapitan Doliński, wskazując krzesło ustawione tuż przed biurkiem.

– Dziękuję. Mam chyba prawo wiedzieć, o co chodzi. Prawda?

– Chodzi o małe zeznanie.

– Jakie zeznanie? Ja o niczym nie wiem. Nic nikomu nie zrobiłam i nikt mi nic nie zrobił. Więc o co chodzi?

– Chwileczkę. – Kapitan wyjął z szuflady druczek protokołu i położył go przed sobą. – Wszystkiego dowie się pani we właściwym czasie.

– Ale ja nie mam czasu. I tak już tyle go straciłam, żeby tu przyjechać, a teraz jeszcze...

– Przecież pani nigdzie nie pracuje, prawda? Więc dokąd się pani tak spieszy?

– To co z tego, że nie pracuję? Każdy ma jakieś zajęcie.

– Może... Z czego się pani utrzymuje?

– Z czego? – Bystro popatrzyła w oczy kapitana i wyrażała: – Kochanek mnie utrzymuje. A co? Nie wolno?

Nie myliłem się – pomyślał kapitan Doliński. Jest bezczelna, z ogromnym tupetem i do tego jeszcze pyskata.

– Dlaczego nie? – odpowiedział. – Wolno. Jeśli ktoś to lubi.

– Więc o co w końcu chodzi?

– Powoli, panienko, powoli. Dojdziemy i do tego. A na razie zaczniemy od personaliów.

Kiedy skończyli, odłożył długopis, patrzył chwilę prosto w oczy wyraźnie tym wszystkim zaniepokojonej kobiety i nagle rzucił pytanie:

– Znała pani Stefanię Pawelec?

Jego uwagi nie uszedł nagły popłoch w oczach tamtej, szybko jednak opanowany i ukryty pod przesłoną długich, mocno uczernionych rzęs.

– Kto to jest?

– Pewna... handlarka. Przeważnie kręciła się po Turzynie.

– Panie kapitanie. – Karolina Brzoza uśmiechnęła się ze swobodną i pewną siebie pobłażliwością. – Ja nie chodzę na Turzyn i nikogo tam nie znam. Nie muszę nic kupować u handlarek i przepłacać, bo przecież mój chłopak pływa i przywozi mi wszystkie ciuszki, na jakie tylko przyjdzie mi ochota.

– Więc nie zna pani kobiety o nazwisku Stefania Pawelec?

– Nie.

– No cóż... W takim razie może mi pani powie, co pani robiła po południu dnia... – Tutaj podał datę śmierci Stefanii Pawelec.

– Tego dnia? – Karolina Brzoza zmarszczyła czoło. – Zaraz... Co to było? Ach! Już wiem. Po prostu siedziałam w domu.

– Nigdzie pani nie wychodziła?

– Nie.

– Na pewno?

– Panie kapitanie! – Znów, jak na początku rozmowy, była oburzona. – Co to znaczy? O co panu właściwie chodzi?

– O nic. Tylko o to, żeby pani odpowiedziała na pytanie.. A więc?

– Pamiętam doskonale... Tego dnia mój chłopak wychodził po południu w morze. Był u mnie, zjedliśmy razem obiad i prosto ode mnie pojechał na statek. A ja siedziałam w domu. Pan wie... Takie rozstanie na kilka miesięcy.

– O której jego statek wychodził z portu?

– Dokładnie o piętnastej trzydzieści. A załoga musiała być na pokładzie godzinę wcześniej.

– O piętnastej trzydzieści... – przeciągnął kapitan Dołński.

Pamiętał przecież doskonale zeznanie kobiety, mieszkającej naprzeciwko bunkra na Żelechowej, złożone sierżantowi Antosiakowi. Twierdziła ona, że widziała Stefanię Pawelec w towarzystwie mężczyzny i kobiety właśnie o tej porze. Właśnie o piętnastej trzydzieści. A więc nie mogła to być ani Karolina Brzoza, ani jej kochanek, Adam Czarnodół.

– Tak – powtórzyła Karolina Brzoza. – O piętnastej trzydzieści.

– Proszę się zastanović. Sprawdzę to w dyrekcji przedsiębiorstwa rybackiego.

– Wiem, co mówię. Może pan sprawdzić, proszę bardzo.

– No, dobrze. Jest pani wolna.

Odprowadzając wzrokiem opuszczającą pokój kobietę poczuł nagle, że jest piekielnie zmęczony i że ogarnia go ostateczne zniechęcenie.

10.

Kapitan Doliński już chyba od godziny dumał nad rozpostartym na biurku planem miasta. Jego wzrok nieodparcie przyciągała biegnąca na ukos, okrążająca łukiem śródmieście, linia toru kolejowego i wydrukowane czerwonymi literami nazwy dwóch dzielnic usytuowanych na trasie tej linii: „Pogodno” i „Żelechowa”.

Jaki może być związek między tymi dwoma odległymi od siebie krańcami miasta? Między dwoma stacyjkami PKP, noszącymi nazwy tych dzielnic? Te pytania gnębiły go od kilku dni i nie dawały mu spokoju ani w dzień, ani w nocy. Jakiś związek musiał być. O tym wiedział doskonale. Dowodził tego ów bilet kolejowy znaleziony w kieszeni płaszcza Stefanii Pawelec.

A kapitan Doliński był głęboko przekonany, że gdyby potrafił odpowiedzieć na to dręczące go pytanie, miałby tym samym rozwiązana zagadkę morderstwa.

A więc jeszcze raz.

Co łączy Pogodno z Żelechowa? Po co i dlaczego Stefania Pawelec udała się do stacji Żelechowa? Nikt tego nie wie. Chociaż nie. Wie to jeden człowiek. Morderca. No tak... A może by inaczej? Na przykład zacznijmy od tego: po co i dlaczego Stefania Pawelec pojechała na Pogodno? To chyba wiemy, prawda? Prawdopodobnie pojechała do Katarzyny Kabatek, na ulicę Konopnicką. Dobrze. Po co? Czy dla niej, a właściwie dla jej męża, zawiozła te dolary, które nabyła u „Studenta”?

Czy pojechała z nimi później do Żelechowej? Jeżeli tak, to dla kogo je wiozła? Dla Karoliny Brzozy, która tam mieszka? Dla Adama Czarnodoła, jej kochanka? On przecież tego dnia wychodził w morze. Więc jeżeli miał w planie jakiś biznes do spółki ze Stefanią Pawelec... A może był jeszcze ktoś trzeci, o którym nic nie wiem? Cholera! Kręćka można dostać. Kiedy skończą się te niewiadome? Pukanie do drzwi.

– Tak!

Do pokoju wszedł sierżant Antosiak.

– Już są, kapitanie – zameldował.

– Obydwie?

– Tak.

– Kabatkową dajcie zaraz tutaj. A tę drugą, tak jak mówiłem, zaprowadźcie do sąsiedniego pokoju. Kiedy będę przesłuchiwał Kabatkową, uchylcie drzwi, aby tamta mogła ją sobie obejrzeć. Zrozumiano?

– Tak jest! – służbiście odkrzyknął sierżant Antosiak, prężąc swoją tyczkowatą postać i trzymając dłonie ściśle „po szwam”.

Wszyscy koledzy pokpiwali sobie z niego, twierdząc, przy każdej okazji, że milicja, to jednak nie wojsko. Sierżant Antosiak sam wiedział o tym doskonale, wiedział jednak i to, że kapitan Doliński jest starym, frontowym żołnierzem i lubi dyscyplinę. Zresztą... sam Antosiak także był kiedyś żołnierzem. Więc uważał, że nic to nikomu nie szkodzi, jeżeli obaj od czasu do czasu przypomną sobie, jak to wyglądało w wojsku.

– Dobrze. – Kapitan Doliński starannie złożył plan miasta i schował go do szuflady. – A to, co wam poleciłem, wykonaliście?

– Wykonałem, obywatelu kapitanie. – Sierżant Antosiak natychmiast wyciągnął z kieszeni notes. – Tadeusz Kabatek, drugi oficer na... – tutaj padła nazwa statku – wrócił z morza pięć dni przed śmiercią Stefanii Pawelec. W morze wyszedł tego samego dnia, wieczorem, o godzinie dziewiętnastej.

– Pięknie. To znaczy, że był wtedy w Szczecinie?

– Tak, kapitanie. Był. – Sierżant przerzucił kartkę. – Dotychczas nie karany. Żadnych spraw o przemyt nie miał.

– Jednym słowem... czysty?

– Tak, kapitanie. Czysty.

– No, dobra... Dajcie tu tę... Kabatkową.

Kapitan Doliński odchylił się tak, aby plecami wygodniej oprzeć się o oparcie krzesła. Ciężkim spojrzeniem zawiśł na twarzy młodej, przystojnej i eleganckiej kobiety, która przed chwilą usiadła na wskazanym jej krześle po drugiej stronie biurka. Kobiety, która nie tylko była ładna, lecz i bardzo pewna siebie, tą pewnością osób swojej płci, które są świadome własnej urody, szyku i wspierających to wszystko pieniędzy.

Bardzo nie lubił takich ludzi, a jeszcze bardziej nie lubił takich kobiet.

– Słucham pana? – Kobietę zniecierpliwilo chyba przeciągające się milczenie.

A może zaniepokoiło? – pomyślał kapitan Doliński.

Wprawdzie pytanie to rzuciła bardzo swobodnym tonem, ale przecież wygląda na taką, która świetnie umie nad sobą panować. Więc może...

– Czy zna pani kobietą, która nazywa się Stefania Pawelec? Mieszka przy Bolesława Śmiałego.

– Nie znałam, panie kapitanie.

– Dlaczego użyła pani czasu przeszłego? – natychmiast podchwycił kapitan Doliński.

Katarzyna Kabatek uśmiechnęła się z wyraźną przekorą. I pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Czytuję gazety. A „Kurier” pisał w swoim czasie o tym morderstwie.

– Tak. Rzeczywiście – odpowiedział kapitan Doliński, nie odwzajemniając uśmiechu. – Więc nie znała jej pani?

– Nie. To chyba oczywiste.

– Dlaczego?

– Panie kapitanie – w głosie kobiety pojawiła się wyraźna uraza – ta osoba nie należała do ludzi, z którymi może mnie łączyć znajomość.

– Tak? Odwiedzała ją jednak pani kilkakrotnie w jej mieszkaniu. Czy chce pani temu zaprzeczyć?

– Ach, nie, panie kapitanie. Nie zaprzeczam.

– Więc znała ją pani jednak?

Katarzyna Kabatek uśmiechnęła się. Tym razem był to uśmiech pobłażliwej wyrozumiałości dla cudzego niezrozumienia pewnych, oczywistych dla niej, niuansów.

– Panie kapitanie... To zależy, jak pan rozumie określenie „znać kogoś”.

– A pani?
– Och. Jednoznacznie. I w związku z tym mogą twierdzić, że ta kobieta nie należała do grona moich znajomych. To były kontakty zupełnie innego rodzaju.

– To znaczy?

– No... cóż... Pan wie doskonale, że marynarze z każdego rejsu mogą przywozić określone ilości różnych poszukiwanych w kraju przedmiotów. Jakies koszule, bluzeczki, sweterki. Czasami, kiedy mąż przywiózł mi więcej, niż potrzebowałam dla siebie, odstępowałam te rzeczy innym. Między innymi Stefani Pawelec.

– Czyli po prostu handlowała z nią pani? Tak? – Rozmyślnie użył tego jednoznacznego określenia, bo zirykowało go jej silenie się na różne subtelne rozgraniczenia.

Katarzyna Kabatek uczyniła nieokreślony gest wypielegnowaną dłonią, który mógł oznaczać wszystko i nic.

Nie odpowiedziała. Była wyraźnie urażona tak jasnym, może nawet wulgarnym w jej pojęciu, stawianiem sprawy.

Kapitan Doliński sięgnął do szuflady po arkusz protokołu.

– Czy... – W głosie kobiety, gdy to zobaczyła, pojawił się cień przelotnej niepewności. – Czy jestem o coś podejrzana, panie kapitanie?

– Nie. Na razie jeszcze nie – odpowiedział kapitan Doliński, kładąc nacisk na tym drugim zdaniu, i przystąpił do spisywania danych personalnych.

Gdy skończył Katarzyna Kabatek otworzyła torebkę.

– Przepraszam, czy mogę zapalić?

– Niestety... nie.

Bez słowa, ale z wyraźnym dąsem na twarzy, zatrzasnęła zamek torebki.

– W dniu... – kapitan Doliński wymienił datę śmierci Stefanii Pawelec – rano, była pani w mieszkaniu Pawelców. Tak?

– Tak. Byłam.

– W jakim celu?

– Kilka dni wcześniej mąż wrócił z morza. Przywiózł kilka sweterków, które mi się nie podobały. Już zbyt obnożone, pan rozumie, panie kapitanie... Więc pojechałam do tej kobiety. Wiedziałam, że ona handluje takimi rzeczami.

– Dużo tego było?

– Przecież powiedziałam. Kilka. – A kiedy oficer nie spuszczał z niej przenikliwego spojrzenia, dorzuciła: – Panie kapitanie... Pan naprawdę sądzi, że mój mąż i ja prowadzimy jakieś nielegalne interesy? – Cała była w tej chwili jednym wielkim zgorszeniem i oburzeniem, że w umyśle tego milicjanta mogło się zrodzić, takie obrażające jej osobę przypuszczenie. – Powiedziałam już, nie ukrywam, że mąż przywozi to i owo. Jednak zawsze trzyma się ściśle ram określonych dla pływających. To się potocznie nazywa „marynarski import”, panie kapitanie. Istnieją przecież państwowe punkty skupu powołane specjalnie do odbioru towaru przywiezionego przez marynarzy z morza. I mąż zawsze zgodnie...

– Wiem – przerwał jej, być może niezbyt uprzejmie, kapitan Doliński; ta kobieta działała mu jednak na nerwy. – Zdążyłem już to sprawdzić.

– O... – W jej oczach błysnął cień uznania. – Nie traci pan czasu.

– Jak pani widzi. – Kapitan poczynił na arkuszu papieru kilka notatek i rzucił nagle: – To za te sweterki Stefania Pawelec przywiozła pani większą sumę dolarów?

– Nie rozumiem, panie kapitanie.

Powiedziała to tylko po to, aby zyskać na czasie. To było widać wyraźnie i spostrzegłby to każdy, nie tylko tak bystry obserwator jak kapitan Doliński.

– Tego samego dnia, w którym pani była u niej.

Tym razem kapitan Doliński dostrzegł w oczach kobiety cień wahania i głębokiego namysłu.

– Nic nie wiem o żadnych pieniądzach. A tym bardziej o dolarach. – Katarzyna Kabatek znów była swobodna i pewna siebie. – Przecież pan wie, że mąż, jako marynarz, otrzymuje tak zwany dodatek walutowy. Po co więc miałabym kupować dolary od tej kobiety?

– Więc nie otrzymała ich pani od Stefanii Pawelec?

– Nie.

– Ale była ona u pani tamtego dnia?

Lekki ruch głową.

– Owszem. Była.

– Po co?

– Aby obejrzeć te sweterki, o których mówiłam. —

– I wzięła je?

– Tak. To znaczy, panie kapitanie, miała je wziąć, lecz powiedziała mi, że nie ma przy sobie takiej sumy, że wpadnie jeszcze raz zią dwa, trzy dni. I wtedy je zabierze.

Kapitan Doliński dostrzegł kątem oka, że drzwi do sąsiedniego pomieszczenia są uchylone i wygląda przez nie głowa kobiety, która widziała, jak Stefania Pawelec wchodziła do bunkra.

– Przepraszam na chwilkę.

Z pewnym wysiłkiem dźwignął się z krzesła i poszedł do sąsiedniego pokoju. Zamknął za sobą drzwi i rzucił przyciszonym głosem:

– No, jak? Poznaje ją pani?

Kobieta przecząco pokręciła głową.

– Nie. To nie ta.

– Na pewno?

– Murowane. Tamta była drobniejsza i miała ciemne włosy. I ubrana była zupełnie inaczej.

– Ubranie łatwo zmienić.

– Niby racja, ale... Ta jest bardzo szykowna, a tamta dobrze była ubrana, nie powiem, pewnie w zagraniczne szatki, ale... Widzi pan... Tego szyku nie było. Właśnie...

– Dobrze. Proszę tu jeszcze poczekać.

Kapitan Doliński wrócił za swoje biurko.

– Od kiedy jest pani blondynką?

– Panie kapitanie... – Katarzynę Kabatek oburzyło to obcesowe pytanie. – Co to znaczy?

- Nic wielkiego. Taki sobie eksperyment.
 - Pan jest niegrzeczny.
 - Przepraszam. – Kapitan Doliński skłonił głowę. – Ale pani nie odpowiedziała na moje pytanie.
 - Zawsze byłam blondynką.
 - I nigdy nie farbowała pani włosów na ciemno?
 - Nie. Mąż najbardziej lubi takie właśnie jak moje, jasne włosy.
 - A... czy mąż pani lubi pić koniak marki „Chevalier”?
- Katarzyna Kabatek ze szczerym rozbawieniem spoglądała na kapitana Dolińskiego.
- Skąd to panu przyszło do głowy? – Roześmiała się. I był to śmiech całkowicie swobodny. – Cóż to za pomysł?
 - Po raz drugi nie odpowiada pani na moje pytanie.
 - Przecież już odpowiedziałam. – Wciąż jeszcze była rozbawiona. – Śmiech także może być odpowiedzią.
 - Więc mąż pani nie pije takiego koniaku?
 - Panie kapitanie... Czy pan kiedyś to pił?
 - Nie.
 - Szkoda. Wiedziałyby pan wtedy, że tak podły alkohol mogą pić tylko ludzie, którzy zupełnie się nie znają na szlacheckich trunkach. I którym może zaimponować byle zagraniczna nalepka na flaszcze. – Jeszcze raz kapitan Doliński poczuł na sobie pełne rozbawionej pobłażliwości i nie ukrywanej wyższości spojrzenie jej oczu „zrobionych” zresztą bardzo modnie i bardzo umiejętnie. – Mój mąż pije

wyłącznie whisky. Szkocką. Dla mnie, jako kobiety – ci-
chutki śmieszek – przywozi likiery Bolsa. Ale, panie kapi-
tanie – teraz lekko dostrzegalnie przymrużyła oczy jak kon-
spirujący z kolesiami łobuziak – tak w zaufaniu mogę panu
wyznać, że i ja wolę whisky.

– Ale mąż przywozi czasem tego „Chevaliera” praw-
da? Dla znajomych...

– Panie kapitanie... Pan bardzo nisko ocenia naszych
znajomych.

– Cóż... Przykro mi. Więc nie przywozi?

– Nie.

– I nigdy w domu u państwa nic takiego nie było?

– Nie.

– Cóż... – Kapitan Doliński sięgnął po teczkę z aktami
sprawy Stefani Pawelec i wyjął z niej niebieską kopertę. –
Czy pani wie, co to jest?

Położył na biurku kawałek czarnej tasiemki kolorowo
haftowanej. Patrzyła na nią trochę chyba za długo.

– Każda kobieta to panu powie. – Tym razem swobo-
da, z jaką udzieliła tej odpowiedzi, była wyraźnie wymu-
szona. I nie uszło to uwagi Antoniego Dolińskiego.

– A więc?

– To są znaki firmowe angielskiej firmy trykotażowej.

– Widziała je pani już gdzieś?

– Jasne, że tak.

– Gdzie?

– Proszę pójść do pierwszego lepszego komisju i

obejrzeć kilka zagranicznych bluzeczek albo sweterków. Na pewno znajdzie pan przy nich takie same albo bardzo podobne metki.

– Nie zrozumiała mnie pani. Ja nie pytam o pojedyncze metki wszyte do sweterka. Mnie interesują takie jak te, tworzące całą tasiemkę. Widziała to pani?

– Nie. Skądże?

Ciągle jeszcze jej swoboda była bardzo sztuczna, bardzo wymuszona.

– W mieszkaniu Stefanii Pawelec znaleźliśmy cały kłęb takiej tasiemki.

– Naprawdę? Co ona z tym robiła?

– Wszywała do sweterków produkowanych przez siebie albo kupowanych w państwowych sklepach.

– Ach, rozumiem... – Kabatkowa zdobyła się na szeroki uśmiech. – W ten sposób podnosiła ich cenę. Nie wiedziałam, że była aż tak sprytna. Nie wyglądała na taką.

– Właśnie. Może więc ktoś podsunął jej ten pomysł?

– Bardzo możliwe, panie kapitanie.

– Na przykład pani. Albo może mąż?

– Ma pan wiele fantazji. A też wcale pan na to nie wygląda.

– To nie jest fantazja. Te metki pochodzą z zagranicy, prawdopodobnie z Anglii. Musiał je przywieźć jakiś marynarz. W ramach – nie potrafił się powstrzymać od tej małej złośliwości – marynarskiego importu. A pani mąż jest marynarzem. I pływa także do Anglii, o ile wiem.

– Tak. Ale... – Zawahała się. I po chwili roześmiała się, jakby przyszło jej na myśl coś bardzo zabawnego. A kapitan Doliński natychmiast spostrzegł, że znów był to śmiech naprawdę swobodny. – Ale pan się myli.

– To znaczy?

– Wie pan, niedawno byłam z pewną znajomą w kawiarni „Neptun”. To ta naprzeciwko dyrekcji naszego armatora. Do południa bywa tam zwykle wielu marynarzy, którzy załatwiają w dyrekcji różne sprawy...

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

– Właśnie odpowiadam. Chodzi bowiem o to, że w tej kawiarni usłyszałam o takich właśnie metkach.

– Od kogo?

– Nie wiem. Przy sąsiednim stoliku siedziało kilku mężczyzn. Pili piwo, byli bardzo rozbawieni, opowiadali sobie różne dowcipne, ich zdaniem, historie. I właśnie jeden z nich opowiedział o koledze, który zrobił świetny interes na takich tasiemkach z firmowymi metkami. Natrafił na nie w jakimś angielskim magazynie, gdzie były używane do wiązania paczek. Po prostu firma uległa likwidacji i pozostały po niej zapasy taśmy, z metkami. Marynarz wpadł na pomysł, aby kupić je za psie grosze i w kraju sprzedawać prywaciarzom handlującym tekstyliami. Podobno szły u nas jak woda.

Roześmiała się po raz drugi już bez żadnego przymusu. Ta historia prawdopodobnie naprawdę ją bawiła.

– I pani nie wie, kto był tym spryciarzem?

– Niestety, panie kapitanie. Nie wiem.

Kapitan Doliński schował skrawek tasiemki do koperty, a kopertę do teczki. Starannie zawiązał tasiemki i dopiero wtedy rzucił nowe pytanie:

– Pani mąż był w Szczecinie tego dnia, w którym zamordowano Stefanię Pawelec? Tak?

– Tak. Wieczorem wyszedł w morze.

– O dziewiętnastej, tak?

– Tak.

– Co robił do tego czasu?

– Chodzi panu o jego alibi? – Tak jak na początku rozmowy była zupełnie swobodna i pewna siebie.

– Przypuścimy. A więc?

– Ma je, żelazne, panie kapitanie.

– To znaczy?

– Tego dnia były akurat imieniny jednego z naszych sąsiadów, z którym jesteście zaprzyjaźnieni. I całe popołudnie, aż do godziny osiemnastej, mąż i ja bawiliśmy u tych ludzi. Mąż wprawdzie nic nie pił, bo przecież czekała go służba w czasie manewrów przy wychodzeniu z portu, ale siedział tam ze wszystkimi do ostatniej chwili. Bawił się doskonale i nawet musiałam mu przypominać, że już czas na statek, żeby się nie spóźnił i nie miał później kłopotów. Bo ich „stary” bardzo dba o dyscyplinę.

– Tak? No cóż... Dziękuję pani. To na razie byłoby wszystko. Do widzenia.

Gdy Katarzyna Kabatek wyszła, kapitan Doliński

jeszcze raz przeszedł do sąsiedniego pokoju.

– Mam jeszcze jedno pytanie – zwrócił się do czekającej tam kobiety. – Widziała pani ze swego mieszkania tamtych troje, jak wchodzili do bunkra, tak?

– Tak.

– Zapadał już zmierzch?

– Tak. Dochodziło pół do czwartej.

– Nie dziwiło to panią, że oni tam wchodzi? Nie zaniepokoiło? Bo rozumiem, że dzieciaki, ale dorośli...

– Panie kapitanie – przerwała mu. – Nie tylko dzieciaki. Dorośli nawet częściej. Bo widzi pan... Jak kto chce wypić, a w domu nie może, to idzie z kumplami do bunkra. Do najbliższej knajpy kawałek drogi, a tu najbliżej. I taniej wychodzi. Zwykła pijacka speluna się z tego schronu robiła. I tylko zgorzenie dla dzieciaków, co tam biegają zbierały butelki. To jak tamtych troje widziałam, to też się nie dziwiłam. Ot, pijaki jak inni. Nawet nie dziwno mi było, że i kobieta. Bo to, panie kapitanie, mało spotyka się bab trun-kowych?

– No tak, racja. Dziękuję. Aha – rzucił jeszcze, gdy kobieta ruszyła do drzwi. – Miałbym dużą prośbę.

– Tak?

– Gdyby pani spotkała na ulicy, w sklepie lub gdziekolwiek tamtą kobietę albo mężczyznę... gdyby pani ich poznała, proszę do mnie zadzwonić. Dobrze? Pod ten numer... – Szybko wypisał numer telefonu na kartce wyrwanej z kalendarzyka i, podał kobiecie. – Dobrze? – powtórzył.

– Może w ten sposób trafimy na ślad tego, kto dopuścił się morderstwa.

– Rozumiem. Zadzwoń.

11.

– To jest, panie kapitanie, normalne u każdego z nas zawodowe skrzywienie perspektywy.

– Jest pan tego pewien?

Redaktor odpowiedział uśmiechem i potakującym ruchem głowy.

Był to ten sam dziennikarz, który nagrywał z nimi audycję o frontowym małżeństwie. A na jego kolanach leżał ten sam, co wówczas, mały reporterski magnetofon, połączony kablem z mikrofonem ustawionym na środku stołu.

Kiedy ten człowiek ponownie zjawił się w ich mieszkaniu, kapitan Doliński przyjął go niezbyt chętnie. Po prostu całą jego uwagę pochłaniała ta parszywa sprawa zabójstwa Stefanii Pawelec, w której co krok natrafiał na ludzi budzących jego wstręt lub niechęć i której ciągle jakoś nie udawało mu się doprowadzić do końca. Nie miał więc ani nastroszu, ani ochoty na snucie wojennych wspomnień.

Cóż... Okazało się jednak, że redaktor jest człowiekiem, który łatwo się nie poddaje. A kiedy przypomniał w końcu gospodarzowi, że przecież obiecał mu tę drugą rozmowę, kapitan Doliński, chociaż z ciężkim westchnieniem, ustąpił. Bo do jego żelaznych zasad należała i ta, że raz danego

słowa dotrzymuje się bez względu na okoliczności,

Zasiedli zatem przy stole, na którym dziennikarz starannie ustawił mikrofon. Żona przyniosła im po flaszcze „Baltic Beer” i nastrój jakoś się poprawił.

Tym razem jednak gość zwlekał z przystąpieniem do nagrania. Prawdopodobnie nie uszła jego uwagi ta początkowa niechęć gospodarza, która sprawiała, że jeszcze i teraz, przy piwie, kapitan Doliński trzymał się trochę sztywno i odnosił do dziennikarza z pewną rezerwą. Być może dlatego właśnie tamten, zamiast od razu przystąpić do rzeczy, zaczął prowadzić swobodną, przygotowawczą, jak to sobie pomyślał kapitan Doliński, rozmowę.

Redaktor zaczął od tego, że tamta pierwsza audycja z nimi podobała się słuchaczom, że otrzymał sporo listów, w których proszono o dalszy ciąg ich historii, zapowiedziany zresztą w zakończeniu reportażu. Z kolei, pociągając ze szklanki piwo, zwierzył się, że on także jest starym frontowym żołnierzem. Był w trzeciej dywizji, w siódmym pułku piechoty, walczył na Wale Pomorskim, w Kołobrzegu, gdzie został ranny, potem szpital...

– Można wiedzieć, w którym pan leżał? – Nie wytrzymał kapitan Doliński.

Tak już z nim było zawsze. Wystarczyło, aby ktoś potrafił strunę wojennych przeżyć, a odzywała się w nim żołnierska dusza zawsze przyjazna frontowym druhom i zawsze chętna do wspomnień.

– W kilku – odpowiedział redaktor. – Najdłużej jednak w Nowogardzie. – I zaraz dociął, uśmiechając się: – Nie wiem, czy pan się orientuje...

– Jakżeby nie – wykrzyknął kapitan Doliński i zwrócił się do żony. – Pamiętasz? To właśnie tam...

Odpowiedziała mu trochę zażenowanym uśmiechem, a widząc skierowane na siebie spojrzenie redaktora, wyjaśniła:

– On tam także leżał. Był ranny. I ja... wywalczyłam u dowódcy kilka dni urlopu i przyjechałam tam do niego.

Kapitan Doliński roześmiał się. Nie pamiętał już zupełnie o swoich humorach i niechęci do gościa, nie pamiętał też o tym cholernym, peszącym człowieka, mikrofonie. A także i o tym, że jest on połączony z magnetofonem, który od pewnego czasu leżał na kolanach dziennikarza, niewidoczny dla niego i dla jego żony.

– Pan, kapitanie, gdzie został ranny?

– W walkach pod Dziwnowem...

I potoczyły się wspomnienia, gładko i bez żadnych już oporów ze strony kapitana, bez żadnej też tremy wywołanej widokiem stojącego między nimi, na środku stołu, mikrofonu.

A potem znów powrócili do zwyczajnej, towarzyskiej rozmowy o wszystkim i o niczym. Wtedy właśnie kapitan Doliński zwierzył się dziennikarzowi ze swojej niechęci do takich urządzeń jak magnetofon i mikrofon, które sprawiają, że na ich widok człowiek zaczyna się jąkać lub pleść głupstwa, chociaż normalnie mówi rozsądnie, a nawet mądrze.

Dziennikarz śmiał się, a potem opowiedział gospodarzom historyjkę, jak to przed kilku czy może nawet kilkunastu laty, jego reporterski magnetofon przyczynił się do rozwiązania zagadki śmierci właściciela pewnego małego, stojącego na odludziu domku.

Teraz rozmowa zeszła na sprawy kryminalnej o których dziennikarz, jak się okazało, wiedział dość dużo. I wtedy właśnie, sam nie wiedząc jak i kiedy, kapitan Doliński zwierzył mu się ze swoich aktualnych rozterek. A najdziwniejsze, że mimowolnym ich sprawcą stała się jego własna żona.

Od dawna przywykł liczyć się bardzo z jej zdaniem na temat różnych ludzi i ich postępków, niejedną już raz jej instynkt i kobiece wyczucie naprowadzały go na właściwy kierunek w sprawach, które prowadził.

Ale tym razem...

Któraś dnia powiedział jej to, co jemu samemu nie dawało spokoju:

– Wiesz... Coraz więcej w tej sprawie marynarzy, coraz więcej marynarzowych...

Żona podniosła oczy sponad kart książki i spoglądała na niego dłuższą chwilę swymi oczami krótkowidza.

- Dlaczego tak patrzysz? – zniecierpliwił się.
- Zastanawiam się – odpowiedziała spokojnie. – Czy...
- Czy co?
- Czy nie popełniasz tutaj bardzo typowego błędu.
- To znaczy?

– Wiesz przecież, jaka jest obiegowa, często spotykana opinia o środowisku marynarzy.

– Że wszyscy handlują, że przemycają, a żony ich są niewierne. O to ci chodzi?

– Właśnie o to.

– I co?

– Że to nie jest prawdą. Sam o tym wiesz równie dobrze jak ja.

– I co?

– Mimo to wielu ludzi w te opinie wierzy. I boję się...

– Zamilkła.

– O co? – nalegał już podenerwowany.

– O to, że bezwiednie idziesz śladem tych ludzi. Że poddajesz się tej błędnej opinii, bo ona jest łatwa do przyjęcia.

Nie odezwał się wtedy więcej.

Wprawdzie liczył się ze zdaniem swojej żony, ale bardzo nie lubił, gdy ktoś wytykał mu popełnione błędy. Nawet wtedy, gdy czyniła to ona.

No cóż... Posiane przez nią zwątpienie w jego chłodną bezstronność tkwiło w nim jak zadra i teraz, w czasie rozmowy z coraz bardziej mu sympatycznym redaktorem, znalazło swoje ujście.

I wtedy usłyszał tę odpowiedź o zawodowym skrzywieniu perspektywy.

– To jest takie, spowodowane przez wykonywany zawód, wypaczanie obrazu otaczającego nas świata – mówił dziennikarz, popijając już drugą szklankę piwa. – Widzi

pan, kapitanie, to jest tak... W moim, na przykład, zawodzie jest wiele osób, których widzenie świata jest zdecydowanie optymistyczne. Wychodzą oni z założenia, że nasza praca polega przede wszystkim na popularyzacji osiągnięć i wyróżniających się ludzi. Po pewnym czasie widzą dokoła już tylko ich właśnie i nikogo więcej. A na przykład lekarze... Codziennie, przez kilkanaście godzin na dobę, przyjmują i badają chorych. Nie dziwnego, że kiedy się z nimi rozmawia, słyszy się przeważnie o takich czy innych przypadkach chorobowych i można dojść do wniosku, że cały świat jest beznadziejnie chory. Co przecież nie jest prawdą. To samo z wami, pracownikami służby kryminalnej. Wy macie do czynienia z przestępcami. I ich widzicie przede wszystkim w każdym środowisku. Obojętnie, czy to będzie marynarskie, czy kolejarskie, czy jakieś inne. Co przecież nie znaczy, że są w tych środowiskach wyłącznie przestępcy. Jak wszędzie są ludzie uczciwi, porządni, pracowici, jak wszędzie jest też pewien procent drani. Cóż, takie jest życie, kapitanie. I jeszcze jedno... Chyba nie jest źle, że każdy z nas spogląda na świat przez ten swój zawodowy pryzmat. To chyba zaostrza nasze widzenie.

Redaktor w kilku łykach dopił piwo, postawił szklanekę i sięgnął po mikrofon.

– No... Czas na mnie. Dziękuję państwu za ciekawą rozmowę.

– Jak to? – zdziwiła się żona kapitana Dolińskiego. – Nie będzie pan nagrywał?

– Już wszystko nagrałem.

- Kiedy? – To pytanie wyrwało się z ust gospodarza. Redaktor śmiał się ubawiony ich zaskoczeniem.
- Wtedy, kiedy opowiadaliście mi państwo swoje dzieje.

A widząc niedowierzanie w oczach pani Dolińskiej, postawił magnetofon na stole i dotknął jednego z przycisków. Widoczne pod szkłem okienka krążki poczęły się szybko obracać przewijając taśmę.

- Możemy posłuchać.

Zastopował krążki i naciskając sąsiedni klawisz znów je uruchomił. Usłyszeli jego stłumiony nieco, ale wyraźny głos, wydobywający się z głośnika.

- Nie wiem, czy pan się orientuje...
- Jakżeby nie! Pamiętasz? To właśnie tam...
- On tam także leżał. Był ranny. I ja... wywalczyłam u dowódcy kilka dni urlopu i przyjechałam tam do niego.
- Spryciarz z pana – z uznaniem stwierdził kapitan Doliński.

– Zrobiłem tak, bo widziałem, że nie miał pan zbytnej chęci do rozmowy – uśmiechnął się redaktor. – Łapałem więc na taśmę, co się dało, gdyż bałem się, że potem nie zechce mi pan tego powtórzyć. Ale słuchajmy.

- Pan, kapitanie, gdzie został ranny?
- W walkach pod Dziwnowem...
- Był pan wtedy?
- W drugiej dywizji. W piątym pułku piechoty.

– Poprzednią naszą rozmowę skończyliśmy na tym, że po bitwie pod Lenino poszedł pan do szkoły podoficerskiej.

– Tak. Tak właśnie było. Po wyjściu ze szkoły, w stopniu kaprała, dostałem się do piątego pułku piechoty, do drugiego batalionu. I w jego szeregach przeszedłem już cały szlak bojowy pierwszej armii.

– Aż po Dziwnów.

– Tak, po Dziwnów.

– Ja w tym czasie walczyłem w Kołobrzegu.

– Tak. Szósta i trzecia dywizje otrzymały w tym czasie zadanie wyzwolenia Kołobrzegu. Pozostałe zaś miały przejąć od radzieckich jednostek obronę wybrzeża Bałtyku od Kołobrzegu po ujście Dziwny i dalej wzdłuż Zalewu Szczecińskiego, po Stepnicę. Okazało się jednak, że nie jest to wcale takie proste zadanie. Nad morzem na zachód od Kołobrzegu, gdzieś pomiędzy Mrzeżynem a Pustkowem, zgromadziła się wielka liczba hitlerowskich niedobitków. Byli oni jeszcze świetnie uzbrojeni i bronili się do upadłego. No, nie tylko się bronili, szukali też możliwości przebiccia się na zachód, do jednostek znajdujących się jeszcze na wyspie Wolin. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami nasze pododdziały zaczęły przemieszczać się na zachód. Tu trzeba powiedzieć, że chociaż trasa marszu wiodła przez tereny już opanowane przez jednostki radzieckie, to jednak był to marsz w ciągłym niemal boju. W lasach pełno było hitlerowców, przeważnie sfanatyzowanych, pałających do nas nienawiścią esesmanów. Więc szliśmy w stałej gotowości

bojowej, tocząc potyczki większe i mniejsze. Męczyły nas także samoloty wroga.

– Pamiętam taki nalot... To było niedaleko miasteczka Płoty. Przeżyłam wtedy ogromne zaskoczenie. Zaskoczenie być może większe niż strach. Bo, proszę pana, myśmy wszystkie, i ja, i moje koleżanki fizylierki, zresztą nasi koledzy także, myśmy wszyscy byli pewni, że niemieckie lotnictwo już nie istnieje. Od dawna nie mieliśmy z nim do czynienia. Aż tu nagle samoloty nad nami. I czarne krzyże na skrzydłach. To było ogromne zaskoczenie. Poległ wtedy jeden z żołnierzy, jak pamiętam.

– Dziesiątego marca nasze jednostki doszły do celu. Druga dywizja rozlokowała się w Strzeżewie, Sulikowie, Rzewnowie, Jarszewie, Rarwinie, Grabowie, Rozwarowie, Draminie i Chominie. Pierwsza zaś w Budziszewicach, Babigoszczy, Kartlewie, Brzozowie i Przybiernowie. Czwarta...

– Przepraszam. Pani była nadal w pierwszej, tak?

– Tak. Nadal byłam w pierwszej.

– Więc od tamtego pierwszego spotkania byliście państwo rozłączeni?

– Tak. Przez cały ten czas nie widzieliśmy się nawet. Cóż... Wojna, front, to nie jest czas na sentymenty.

– Pamiętaliście jednak o sobie?

– On pisał do mnie. Nawet dość często. Chociaż ja... Wie pan, wtedy, pamiętam dobrze, nie dałam mu ani numeru swojej poczty polowej, ani nie powiedziałam, jak się nazywam. Smarkata byłam, to prawda, ale mama zawsze

mnie uczyła, żeby chłopcom nie wierzyć. On jednak potrafił się wszystkiego dowiedzieć i pisał. Muszę przyznać, że tym mnie ujął. Tą wytrwałością, tym, że pamięta, nie zapomina. Mimo że na pierwsze listy nie odpowiadałam. Więc pomyślałam sobie, że to chyba coś poważnego, nie takiego, ot sobie. Zresztą podobał mi się. Pamiętałam jego twarz i te oczy, którymi wtedy, w czasie wieczorku sylwestrowego, na mnie popatrzył. No cóż... Zaczęłam odpisywać i tak to trwało. Na odległość, ponad liniami i frontami...

– Jedenastego marca pododdziały pierwszej armii miały przystąpić do luzowania oddziałów radzieckich i obejmowania ich stanowisk. Tymczasem tej samej nocy Niemcy uderzyli od strony Dziwnowa. Od wschodu, od Pustkowa i Trzęsacza, ruszyły też do natarcia okrążone tam hitlerowskie grupy. Ich atak był silny i niespodziewany. Nieprzyjaciel zdołał przebić kilkukilometrowej szerokości korytarz wzdłuż brzegu i korytarzem tym ruszył pospiesznie na zachód,

– Polskie jednostki znajdowały się wtedy na zapleczu oddziałów radzieckich, jakby w drugiej linii, tak?

– Tak. Ale w jednej chwili stała się ona pierwszą linią. Nasz piąty pułk zajmował najdalej na północ wysunięte pozycje. Odpoczywaliśmy po ciężkim, długim marszu, kiedy nagle rozpętało się piekło. To było o świcie jedenastego marca. Dookoła padały pociski artyleryjskie, samoloty wroga zrzucały bomby, a w końcu ruszyło natarcie niemieckiej

piechoty. Koniecznie chcieli hitlerowcy poszerzyć ten swój korytarz nadmorski. Broniliśmy się zażarcie, ale w południe musieliśmy się cofnąć. Niemcy zajęli Wrzosowo. Następnego dnia mój pierwszy batalion rzucono do natarcia na Radawkę. Teren, trzeba wiedzieć, był tam bardzo trudny...

– Znam te strony. Płaskie, odkryte łąki...

– Właśnie. Byliśmy odkryci. A Niemcy we wsi. Ale po kilkugodzinnym boju, o godzinie trzynastej zero zero, rozkaz nam dany wykonaliśmy. Wygnaliśmy hitlerowców z Radawki. Tymczasem nadal trwały trudne i zaciekle boje o Wrzosowo. Także w bardzo trudnym dla nas terenie. Kiedy nasz drugi batalion wyszedł za Radawkę, zagroziło to okrążeniem Niemcom broniącym Wrzosowa. To ich wreszcie załamało. Tego samego dnia nasi żołnierze, drugiego i trzeciego batalionu wraz z radzieckimi piechurami dotarli do morza i przecięli korytarz, odcinając Niemcom drogę ucieczki na zachód.

– Wtedy zobaczył pan morze?

– Nie. Wtedy jeszcze nie. Bo mój batalion szedł wtedy za drugim i trzecim. Pamiętam, że widzieliśmy tylko usypane z miałkiego, żółtego piachu pagórki i dziwne, powykęcane sosny rosnące na nich. Dziwiło nas, że wszystkie one mają gałęzie zwrócone w jedną stronę. Zupełnie jak chorągwie na wietrze. Dopiero później ktoś mi wyjaśnił, że one właśnie tak od wiatru. Od morskiego wiatru, który tutaj przez znaczną część roku wieje właśnie od zachodu lub północy.

– Więc morze...

– Trzynastego marca nasz pułk, wraz z radzieckimi towarzyszymi, ruszył do ataku na Dziwnów. Wspomagali nas także kawalerzyści. Posunęliśmy się wtedy do przodu chyba z pół kilometra i utknęliśmy. Wielu wówczas poległo, wielu odniosło rany. I ja znalazłem się między nimi. To znaczy między rannymi. A morza wtedy nie udało mi się zobaczyć. Zobaczyłem je dopiero po wojnie...

Dziennikarz zastopował magnetofon.

– Chyba nieźle wypadło, prawda? – Uśmiechnął się. – Dodam tylko w studio maleńki wstęp i audycja gotowa.

– Spryciarz z pana. – Pokręcił głową kapitan Doliński. – I zaraz nasrożył się. – Wszystko pan nagrał?

Redaktor znów się uśmiechnął.

– Może pan być spokojny. Tylko frontowe wspomnienia. Przecież to, co mówiliśmy później, było już tylko naszą, prywatną rozmową. Jakże mógłbym ją nagrywać?

Kapitan Doliński natychmiast odtajał. Ten redaktor naprawdę zaczynał mu się podobać.

Tymczasem tamten zabrał ze stołu mikrofon, pozwijał kable i zamknął futerał swojej aparatury.

– Cóż... – Wstał z krzesła. – Przyjemnie się rozmawia, ale na mnie już czas. Dzięki za nagranie. A także za piwo.

Pochylił się nad dłonią gospodyni, mocno uściśnął rękę kapitana.

I już w drzwiach zatrzymał się.

– Wie pan – powiedział z namysłem – cały czas nie dawało mi spokoju to, co pan mówił o swojej aktualnej sprawie. Zwłaszcza jedna rzecz, dotycząca tego rybaka...

– Tak? Co takiego?

– To, że on mógł... Jego mogło nie być na statku o piętnastej trzydzieści.

– Jak to? Przecież jest na morzu. Sprawdziłem to.

– Wiem, ale przypomniała mi się taka historia, która wydarzyła się jednemu z moich znajomych. Marynarzowi. Jego statek wychodził z portu rano, więc chciał tę ostatnią noc spędzić jeszcze z żoną. I trochę zaspał. Przy nabrzeżu statku już nie było.

– I co?

– Wziął taksówkę i pojechał do Świnoujścia. Kosztowało go to pięćset złotych, ale statek tam złapał. Dotarł na pokład kutrem, który szedł, aby zabrać ze statku pilota.

– Zaraz, zaraz... Jak to?

– Widzi pan, kapitanie, rzecz polega na tym, że statek wychodząc z portu szczecińskiego idzie do Świnoujścia przez Zalew. Trwa to około trzech, a nawet czterech godzin. A zimą, gdy jest trudna sytuacja lodowa, jeszcze dłużej. A samochodem można dojechać do Świnoujścia w dwie godziny. Daje to możliwość dogonienia statku, a nawet załatwienia odprawy.

– Jest pan tego pewien?

– W każdym razie tego wypadku mojego znajomego. On nie należy do takich, co bujają. Do widzenia, kapitanie.

12.

Kapitan Doliński ze skupioną uwagą słuchał meldunku sierżanta Antosiaka. Jednocześnie jego wzrok błędził po planie miasta, który od tygodnia już chyba codziennie leżał rozłożony na biurku. Bowiem myśli kapitana nie mogły oderwać się od zaznaczonej na nim niteczki torów kolejowych, a właściwie od ich odcinka rozciągającego się między stacjami Pogodno a Żelechowa.

– A więc, kapitanie – recytował, jak zawsze służbiście sierżant Antosiak – spece z laboratorium potwierdzają, że biały pył z płaszcza Stefanii Pawelec ma taki sam skład chemiczny jak próbki ze ściany bunkra. A więc to fakt, że ona została uduszona tam właśnie, w bunkrze, i później sankami przywieziono jej ciało na cmentarz... Sprawdziłem zeznania tej kobiety ze Szczerkowej. To fakt, że do bunkra często zaglądają pijacy. Pewnie morderca obawiał się, że ciało zostanie zbyt szybko odkryte, a może... – Gniewne chrząknięcie kapitana przypomniało sierżantowi, że pozwala sobie na zabawę w domysły, której zwierzchnik nie lubił. – Odciski palców – szybko przeskoczył na inny temat – sprawdzono. Na tej butelce po koniaku było ich wiele, ale wszystkie zamazane, ponakładane jedno na drugie. Od

tamtego dnia, niejedna ręka musiała trzymać flachę. To prawda, że tam dzieciaki przychodzą po puste butelki i to pewnie one... Tej nie zabrały, bo takich, zagranicznych, skup nie bierze.

– Wszystko?

– Tak, kapitanie... Penetracja ulic przyległych do cmentarza nie dała żadnych rezultatów. Kilka osób poznało Stefanię Pawelec, widywali ją kilka razy na Ułańskiej albo Kruczej, ale nikt nie wie, skąd i dokąd ona chodziła. Krucza, kapitanie – dorzucił, dostrzegając spojrzenie oficera wędrujące po planie – prowadzi prosto od stacji Żelechowa do tej dzielnicy przy cmentarzu.

– Dobrze. Dziękuję. Możecie iść na piwo.

– Kapitanowi też przynieść?

– Przynieście.

Kiedy sierżant wyszedł, kapitan Doliński położył przed sobą, na planie miasta, kartkę z meldunkiem plutonowego Adamka i zamyślił się głęboko. Nie lubił tego młodego człowieka, który chodził przeważnie po cywilnemu, i to w różnych wymiętych łaskach, nadających mu wygląd autentycznego obiboka spod kiosków z piwem. Ale plutonowy Adamek miał doskonale „dojścia” do środowiska wszelakich portowych mętów, do różnych cinkciarzy, mewek i zwyczajnych chuliganów. A poza tym wykazywał zawsze wiele inicjatywy i pomysłowości. To nie był sierżant Antosiak, któremu trzeba było dokładnie wykładać kawę na ławę. Adamkowi wystarczyło jedno słowo i już wiedział, czego się od niego oczekuje. I za to kapitan Doliński cenił

go i za nic nie chciałby zrezygnować ze współpracy z plutonowym. Bo, tłumaczył to często kolegom, lubienia lubieniem, a robota robotą.

I właśnie wczoraj polecił mu jeszcze raz spenetrować środowisko waluciarzy. Bowiem zeznania Katarzyny Kabatek pobudziły szare komórki mózgu kapitana Dolińskiego do działania. A potem te zdania redaktora o jeździe taksówką do Świnoujścia...

Najpierw było to coś w rodzaju przecucia otwierającej się przed nim możliwości, potem zupełnie już skonkretyzowane przypuszczenie, a po dokładnym rozważeniu wszystkich za i przeciw, po wnikliwej analizie wszystkich posiadanych informacji, niemal absolutna pewność. W tym momencie odetchnął głęboko. Wiedział już, kto zamordował Stefanię Pawelec. Pozostało jeszcze tylko sprawdzić pewne rzeczy, aby nie zostawić żadnej niejasności.

Bo kapitan Doliński nie znosił partactwa w swojej robocie i każdą sprawę lubił przekazywać prokuratorowi dokładnie, na wysoki połysk, wykończoną. I dlatego zagonił wczoraj do roboty plutonowego Adamka, i dlatego też miał zamiar pogonić dzisiaj solidnie sierżanta Antosiaka.

A więc...

Z pewną dozą emocji, bo przecież mogło się okazać, że cała ta jego wczorajsza pewność jest tylko złudzeniem, pochylał się nad meldunkiem plutonowego Adamka.

A ten pisał:

Zgodnie z poleceniem obywatela kapitana przeprowadziłem

dokładny wywiad na okoliczność, czy w ostatnich dwóch latach nie stwierdzono większego zakupu dewiz i udało mi się stwierdzić, że rzeczywiście takie coś zaszło przed rokiem... Kilku cinkciarzy pamięta, że w tym okresie jakiś osobnik skupywał dolary. Jak już wyjaśniałem, takich rzeczy nie robi nigdy ktoś jeden i do tego osobiście. Dlatego ten fakt zwrócił uwagę środowiska i utkwił w pamięci. Do dziś uważają, że był to jakiś frajer albo ktoś bardzo przyciśnięty potrzebą. Niektórzy twierdzili, że facet pryskał za granicę i dlatego było mu wszystko jedno. Znając jednak sprawę wiem, że nie o to szło, tylko jak pan kapitan sugerował, o jakiś większy marynarski biznes. W związku z tym przyszło mi do głowy sprawdzić w Urzędzie Celnym, czy w wyżej wymienionym okresie nie mieli jakiegoś przypadku wykrycia większego szmuglu na polskim statku. Okazało się, że nic takiego nie miało miejsca na żadnej jednostce Polskiej Marynarki Handlowej. Natomiast...

Kapitan Doliński poczuł się w tej chwili tak, jak prawdopodobnie czuje się pies myśliwski wyczuwający trop ściganej zwierzyny.

Odetchnął głęboko i jednym spojrzeniem pochłonął treść dalszego ciągu meldunku plutonowego Adamka.

...Natomiast fakt taki miał miejsce na jednostce łowczej Państwowego Przedsiębiorstwa Połowów Dalekomorskich „Dalryb”, na lugrotrawlerze „Cyranka”. Funkcjonariusze Urzędu Celnego, po powrocie jednostki z morza (w czasie rejsu było zachodzenie do portu w Anglii i Norwegii),

odkryli przemycany towar wartości co najmniej dwustu tysięcy złotych. Jednak nikt z załogi nie przyznał się. Także mimo długiego i starannego śledztwa winnych przemytu nie ujawniono. Dwóch najbardziej podejrzanych zwolniono z pracy. Reszta pływa na różnych jednostkach „Dalrybu”. Zdołyłem spis ówczesnej załogi „Cyranki”, bo może obywatelowi kapitanowi coś z tego przyjdzie. Spis załączam.

To właśnie był cały Adamek. Z rzutkością, z inicjatywą, z pomysłówkiem. Takim, jakim powinien być funkcjonariusz służby śledczej, i w tym właśnie plutonowy Adamek – kapitan Doliński przyznawał to z westchnieniem żalu – bił na głowę sierżanta Antosiaka. Bo sierżant był dobrym pracownikiem, sumiennym i uważnym, doskonale wywiązującym się z każdego polecenia, lecz inicjatywy brakowało mu zupełnie.

No, tak... Przeleciał spojrzeniem kolumnienkę nazwisk.

Jedno z nich było znajome.

Kapitan Doliński dumiał chwilę nad nim, potem podkreślił je długopisem i podniósł słuchawkę telefonu, wykręcając jednocześnie numer bufetu.

– Sierżanta Antosiaka dajcie do mnie. Natychmiast! – I już w ostatniej chwili dorzucił: – Z piwem.

Dosłownie po kilku minutach na biurku kapitana stała flaszka eksportowego „Baltic-Beer”, a przed biurkiem preżył się służbiście sierżant Antosia k z notesem w rękę.

– Notujcie – mówił kapitan Doliński. – Udać się do Oddziału PKO. Sprawdzić stan oszczędności z ubiegłego roku na książeczce Stefanii Pawelec. Gdyby się dało, to uzyskać zestawienie wszystkich ubiegłorocznych wpłat i wypłat. Chyba nie niszczą tych zużytych książeczek tak od razu. A jeżeli nawet, to chyba prowadzą jakieś kartoteki, jakieś konta posiadaczy książeczek... No. Działajcie. Aha... O wynikach meldujcie telefonicznie, najlepiej prosto z PKO, bo prawdopodobnie zaraz potem otrzymacie następne zadanie.

– Tak jest!

Sierżant Antosiak odmaszerował z takim wyrazem twarzy, jakby był żołnierzem ruszającym do decydującego natarcia.

Kapitan Doliński mógł teraz spokojnie i ze smakiem wypić piwo. Wiedział, że musi uzbroić się w cierpliwość i czekać na informacje, które – tego był zupełnie pewien – zamkną krąg podejrzeń na jednej, określonej ściśle osobie.

Sierżant Antosiak zadzwonił mniej więcej po godzinie.

– Tak?

Mimo wszystko w głosie kapitana Dolińskiego zabrzmiał cień ukrywanego niepokoju.

– Udało się, kapitanie. Zdobyłem roczne zestawienie wpłat i wypłat na książeczce Stefanii Pawelec. Czy dyktować po kolei?

– Nie. Mnie interesuje jedna pozycja. Czy... – Kapitan

Doliński musiał zrobić głębszy oddech, aby opanować niecierpliwość i narastający niepokój. – Czy była jakaś większa, jednorazowa wypłata? Duża wypłata...

– Jak byście zgadli, kapitanie. Była.

A więc w porządku. Już całkiem spokojny spytał:

– Jaka?

– Pięćdziesiąt tysięcy, kapitanie.. Za jednym razem. Po co jej było tyle forsy?

– Kiedy? Data? – Zniecierpliwienie znów pojawiło się w głosie kapitana.

– Zaraz – zabrzmiało w słuchawce. – To było... – sierżant Antosiak podał dokładną datę.

– Dobrze. Poczekajcie chwilę przy aparacie.

Kapitan Doliński przysunął kartkę z meldunkiem plutonowego Adamka. Stefania Pawelec, jak się okazało, podjęła z książeczki tę sumę około trzech miesięcy przed wykryciem wielkiego szmuglu na lugrotrawlerze „Cyranka”.

– Antosiak – rzucił w słuchawkę.

– Tak. Słucham?

– Udajcie się teraz do... No, tam, gdzieście uzyskali informacje o dziewczynie Czarnodoła. Pamiętacie?

– Tak. To było w Domu Rybaka.

– Więc idźcie tam jeszcze raz. I rozpytajcie, ale dokładnie, o Adama Czarnodoła. Rozumiecie? Jaki jest, co o nim mówią koledzy? Wpadnijcie też do dyrekcji, do biura załogowego. Sprawdźcie, jaką tam ma opinię. Chodzi mi zwłaszcza o to, czy nie był czasem zamieszany w jakieś

sprawki z przemysłem, czy nikt go o to nigdy nie podejrzewał? Rozumiecie?

– Tak jest, kapitanie. Wszystko jasne.

– To działajcie. Aha!

– Tak. Słucham?

– Jak skończycie z Czarnodołem, skoczcie jeszcze na Szczerkową i uprzedźcie tamtą kobietę, no, tego świadka, że chciałbym, aby jutro koło południa miała trochę czasu. Będzie nam potrzebna. Powiedzcie jej, że podrzucimy ją wozem w obydwie strony, że to nie potrwa długo, najwyżej kilka minut. I jeszcze...

Miał zamiar powiedzieć sierżantowi, aby podobną prośbę przekazał także Karolinie Brzozie. Przyszło mu jednak na myśl, że lepiej będzie o niczym tej kobiety nie uprzedzać i działać przez zaskoczenie.

– Tak?

– Już nic, Antosiak. To wszystko. Działajcie.

Odłożył słuchawkę. Nie na długo jednak. Gdy tylko odnalazł w książce telefonicznej potrzebny mu numer, podniósł ją znowu.

– Hallo? – rzucił trochę niecierpliwie. – Szczecin–Radio? Chcę zamówić rozmowę ze statkiem rybackim „Czajka”... Tak, rozumiem. Czekam.

Czekanie nie dłużyło mu się, gdyż zajęty był sporządzaniem szczegółowego raportu, wykorzystując wszystkie informacje zgromadzone w różowej tekturowej teczce.

Gdy wreszcie uzyskał połączenie z lugrotrawlerem „Czajka”, łowiącym w tej chwili ryby gdzieś na Morzu

Północnym, poprosił do radiotelefonu kapitana.

Rozmowa z nim trwała zaledwie kilka minut i potwierdziła to, czego się kapitan Doliński domyślał.

– Hallo, kapitanie – z naciskiem powiedział na zakończenie. – Proszę pamiętać, że to, o czym mówiliśmy, nie może dotrzeć do wiadomości żadnego członka załogi. Zrozumiał pan mnie?... Zrozumiał mnie pan?... Nikogo z załogi... Odbiór...

– Tak, kapitanie – usłyszał, przebijający się przez szumy i trzaski w słuchawce, daleki, ale wyraźny głos kapitana rybackiej jednostki. – Zrozumiałem. Dobrze pana rozumiałem. Proszę na mnie polegać. Proszę na mnie polegać... Over i stop.

Kapitan Doliński jeszcze przez chwilę trzymał w dłoni słuchawkę, w której rozbrzmiewały już tylko te szumy i trzaski.

13.

Dochodziła jedenasta, gdy zjawił się sierżant Antosiak.

– Już jest, kapitanie. Przywiozłem ją.
– Pięknie. Samochód na Szczerkową pojechał?
– Pojechał, kapitanie. A tę... wprowadzić?
– Jeszcze nie. Najpierw siadajcie... I mówcie, co wiecie o Czarnodole?

– Przygotowuję to właśnie na piśmie.

Kapitan Doliński machnął ręką.

– To później, do akt. A teraz mówcie szybko.
– No więc... – sierżant Antosiak usiadł i wyciągnął notatnik. – Te wszystkie dane, które otrzymałem od obywatela kapitana, potwierdzają się.

Znów zniecierpliwiony ruch dłonią, jakby zwierzchnik oganiał się przed zbytnią służbistością i dokładnością sierżanta.

– Dalej... dalej. Nie traćcie czasu na drobiazgi.
– A więc dalej... Adam Czarnodół pracuje w „Dalrybie” od dnia...

– Dalej, sierżancie. To, co najważniejsze. Jaki on jest? Jak go oceniają w dyrekcji? Koledzy?

– Rozumiem... – Sierżant Antosiak powiedział to nieco naburmuszonym tonem. – W kadrach wystawiono mu bardzo ładną opinię. Dobry z niego pracownik, zdyscyplinowany, pracowity. A ludzie, którzy go znają, którzy byli z nim bliżej, zupełnie inaczej. Mówią, że jest niekoleżeński, że już kilka razy był zahaczany przez celników, ale zawsze się jakoś wykręcił, że przed rokiem był zamieszany w grubą historię przemytniczą. Urząd Celny skonfiskował wtedy bardzo gruby biznes, jak to nazywają marynarze, ale dochodzenie nie dało żadnych rezultatów. Nikomu nie udało się udowodnić udziału w tym interesie. Dwóch, podobno najbardziej podejrzanych...

– Dobra, to już wiem – po raz któryś kapitan Doliński nie wytrzymał tej dokładności sierżanta.

– Tak, ale nie wiecie, kapitanie, że do dzisiaj ludzie, którzy wtedy pływali na „Cyrance”, mówią po cichu, że

najbardziej podejrzanym był właśnie Adam Czarnodół. Jeden z nich wygadał się nawet, że według mego to właśnie Czarnodół, nikt tylko on, był właścicielem tego towaru.

– Więc dlaczego milczeli? I wtedy, i teraz?

– Bo się boją, kapitanie.

– Czarnodoła?

– Tak. To były bokser, wszyscy mówią, że skory do bitki, że raz już kogoś pobił, właśnie za takie niby całkiem niewinne, trochę żartem rzucone słówko na jego temat. Po drugie, Czarnodół dawał podobno do zrozumienia, że ma mocne plecy. Gdzieś w dyrekcji albo i jeszcze wyżej. Więc... ludzie woleli nie podskakiwać. Tym bardziej że widzieli, jak gładko wywinął się ze spraw, za które inni musieliby odpowiadać. Bo mówi się jeszcze... Obywatel kapitan przypomina sobie tę historię, sprzed pół roku chyba? Sądono wtedy marynarza za przekazywanie szpiegowskich materiałów za granicę. Mówiło się tam o pewnej handlowej firmie w Hamburgu, nastawionej na interesy z marynarzami, którzy mogli tam robić zakupy po niższych niż gdzie indziej cenach. Więc wyszło szydło z worka. Była to agentura wywiadu powołana do penetracji w środowisku marynarskim. Oni ściągali atrakcyjnymi cenami, a nawet pożyczkami, rzesze klientów i wyszukiwali wśród nich naiwnych albo drani gotowych za forszę...

– Dobra, Antosiak, ale co z Czarnodołem? Przecież nasze statki rybackie nie zachodzą do Hamburga?

– Właśnie. Ale wtedy... Celnicy byli wyczuleni wtedy na tę firmę. I w czasie odprawy znaleziono u Czarnodoła

jakieś materiały wskazujące, że mógł mieć kontakty z tą firmą. To właśnie budziło podejrzenia. Bo gdyby statek tam zachodził, no... Robił zakupy, jak wielu innych. I tyle. Ale...

– Dobrze. I co?

– Nic. Wykręcił się z tego. Wiem – dorzucił szybko – że to nie wiąże się z naszą sprawą. Ale rzuca światło na charakter tego człowieka. Prawda, kapitanie?

– No, tak... Zdolny do wszystkiego.

Kapitan Doliński odchylił się aż na oparcie krzesła i w zadumie spoglądał na plan miasta, jak każdego – ostatnio – dnia rozłożony na biurku, na ciemną, tworzącą półkole nitkę torów kolejowych.

Teraz domyślał się już, jaki istniał związek między stacją Pogodno a Żelechowa. Mało, był tego pewien. Musiał go tylko udowodnić, ujawnić wszystkie szczegóły, aby nie mogła powstać żadna wątpliwość. I wtedy, zgodnie z tym, co od dni dwóch wiedział, sprawa zabójstwa Stefanii Pawelec będzie zakończona.

– Dobrze, sierżancie. Dajcie tu tę... Karolinę Brzozę. Czas kończyć zabawę.

Karolina Brzoza nie straciła nic ze swego zwykłego tupetu i ze swojej pewności siebie. Wpadła do pokoju z impetem i już od progu poczęła wykrzykiwać pełne oburzenia:

– Co to wszystko znaczy, panie kapitanie? Ja złożę zażalenie. Przecież już wszystko panu wyjaśniłam.

– Wszystko? – Kapitan Doliński zachował kamienny spokój. – Naprawdę?

Coś ją musiało tknąć, coś widocznie było w głosie oficera, bo nagle przygasła i umilkła.

– Proszę usiąść – wskazał jej krzesło.

Usłuchała, a on wyciągnął z szuflady druczek protokołu przesłuchania świadka.

– Przecież już raz pan to spisywał – zaprotestowała, gdy poprosił ją o dane personalne.

Uśmiechnął się.

– Milicja jest przecież urzędem. A w każdym urzędzie obowiązują określone przepisy.

Dane personalne spisywał bardzo powoli, często zerkając na zegarek i zastanawiając się, czy woj posłany na Szczerkową zdążył już wrócić. I niecierpliwił się, że jeszcze go nie ma.

Wreszcie skończył, a wiadomości o przybyciu tamtej kobiety ze Szczerkowej nadal nie było.

Kapitan Doliński opadł więc na oparcie krzesła i w milczeniu obserwował siedzącą przed nim kobietę. Z zadowoleniem dostrzegł, że ta przedłużająca się cisza ciąży jej coraz bardziej, że napędza ją coraz większym niepokojem i uczuciem zagrożenia, tym trudniejszym do opanowania, że zupełnie nieokreślonym.

A może ona – pomyślał kapitan Doliński, zaczyna się już domyślać, o co tu chodzi? Bo i przybladła trochę jakby i przymilkła.

– No tak... – rzucił w końcu, dochodząc do wniosku, że nie ma sensu utrzymywać dłużej Karoliny Brzozy w tej niepewności.

Otworzył jedną z szuflad. Postawił na biurku pustą butelkę znaną w bunkrze.

Z ukrytą satysfakcją odnotował w pamięci, że jej oczy rozszerzyły się nagle i że zamigotał w nich, szybko jednak stłumiony, strach.

– Wie pani, co to jest?

Wzruszyła ramionami.

– Pusta butelka.

– Wie pani po czym?

– Po jakiejś wódce.

– Po wódce?

– No. Właściwie nie. Pewnie po koniaku.

– Widziała już pani gdzieś taką butelkę?

– Nie.

– Na pewno?

– Nie widziałam.

– I takiego koniaku pani nigdy nie piła?

– Nie.

– Na pewno?

– Nie piłam. Powtarzam.

– Bardzo ładnie. – Kapitan Doliński sięgnął po długopis. – Zaprotokolujemy to. I pani to podpisze, tak?

W oczach kobiety widział niepokój i być może chęć zaprzeczenia tego, co zeznała. Po chwilce wahania postanowiła jednak brnąć dalej. Doszła chyba do naiwnego wniosku, że najlepiej jest wszystkiemu zaprzeczyć.

– Tak. Podpiszę.

Kapitan Doliński dokładnie zanotował swoje pytania i jej odpowiedzi.

A kiedy skończył, zapukano do drzwi i ukazała się w nich głowa plutonowego Adamka. – Już jesteśmy, panie kapitanie. Wprowadzić?

– Tak.

Karolina Brzoza z wyraźnym niepokojem odwróciła się do drzwi. Jednak na widok wchodzącej kobiety równie wyraźnie się uspokoiła.

Kapitan Doliński, już po raz drugi, skwitował to niedostrzegalnym niemal uśmiechem, skierowanym do samego siebie. Wstał zza biurka i zbliżył się do nowo przybyłej.

– Proszę tu bliżej – poprosił.

A kiedy tamta spełniła jego prośbę, zwrócił się do Karoliny Brzozy:

– Proszę wstać z krzesła.

– Co za hece pan wyprawia? Co to znaczy?

– Proszę wstać – już znacznie ostrzej powtórzył kapitan Doliński i szybko, uprzedzając reakcję kobiety z ulicy Szczerkowej, dodał: – Proszą teraz nic nie mówić. Proszę tylko dokładnie przyjrzeć się tej osobie.

– Nawet nie muszę się jej przyglądać.

– Jednak dla pewności...

Kobieta z ulicy Szczerkowej mierzyła dłuższą chwilę Karolinę Brzozę wzrokiem, w którym można było dostrzec hamowane oskarżenie i potępienie.

– Proszę teraz przejść do sąsiedniego pokoju.

Plutonowy Adamek otworzył drzwi.

– Może pani usiąść – zwrócił się kapitan Doliński do Karoliny Brzozy. – I proszę chwilę poczekać.

Pospieszył za plutonowym, starannie zamykając za sobą drzwi.

– A więc? – rzucił. – Poznała ją pani? – Tak. To ona.

– Na pewno?

– Mogłabym przysiąc.

– Poznała ją pani z twarzy?

– Nie. Za ciemno już wtedy było. I widziałam ich bardziej z tyłu. Ale to ta sama. Rękę dam sobie uciąć. Ciemna, tak samo ubrana, ta sama figura, wzrost... Wszystko. To nie może być nikt inny. I jeszcze, panie kapitanie... Tak samo jak wtedy, tak i teraz jestem pewna, że musiałam ją gdzieś widzieć. I to niejedną raz. Nie wie pan, gdzie ona mieszka?

– Na Działkowej.

– No, właśnie. Teraz wiem. Musiałam ją spotykać na ulicy albo na przystanku... Może w sklepie...

– Dziękuję. To wystarczy... Adamek, przygotujcie protokół.

Kapitan Doliński wrócił do Karoliny Brzozy, która czekała w towarzystwie sierżanta Antosiaka.

Panie kapitanie – poruszyła się żywo, przywołując na pomoc resztki dawnej pewności siebie – co to wszystko znaczy?

– Zaraz się pani dowie. A to przed chwilą? To była taka mała konfrontacja.

– Nic z tego nie rozumiem. Ja sobie wypraszam...

Tym razem kapitan Doliński nie raczył nawet odpowiedzieć. Podszedł do biurka i z odpowiedniej szuflady

wyjął nowy blankiet protokołu.

– Sierzancie... – zwrócił się do Antosiaka, który siedział pod oknem.

– Tak, kapitanie.

– Siadajcie tu, na moim miejscu. I zaczniacie spisywać ten protokół. Ja muszę na jakiś czas wyjść.

– Przecież pan już pisał protokół – próbowała jeszcze walczyć Karolina Brzoza.

– Tamto to był protokół przesłuchania świadka. A teraz musimy sporządzić nowy. – Umyślnie zrobił maleńką pauzę i dokończył z naciskiem. – Z przesłuchania podejrzanego.

– Co? – Poderwała się Karolina Brzoza. – Jestem podejrzana? O co?

– O współudział w zamordowaniu Stefanii Pawelec.

– Co? – Karolina Brzoza nie zamierzała poddać się bez walki. – Pan... Pan naprawdę za dużo sobie pozwala?

– Proszę siadać! – ostro upomniał ją kapitan Doliński. – I radzę przyznać się do wszystkiego.

– Do wszystkiego? To znaczy, do czego? Co pan chce mi wmówić?

– Mam dowody – kapitan Doliński z prawdziwym trudem zmusił się do cierpliwości – że Stefanię Pawelec zabił pani kochanek, Adam Czarnodół. Stało się to w ponemieckim bunkrze, w pobliżu dawnego cmentarza przy ulicy Szczerkowej. A pani była przy tym obecna. I prawdopodobnie

czynnie mu pomagała w dokonaniu tego zabójstwa.

– Nie! – Jej pewność siebie zniknęła bez śladu. – To nieprawda! – W rozpaczliwym zapamiętaniu tłukła zacisniętymi pięściami o własne kolana. – Nieprawda!

– Ta kobieta, która była tu przed chwilą, widziała, jak wchodziliście we trójkę do bunkra tamtego dnia. To było około godziny piętnastej trzydzieści.

Z rozmysłem wymienił tę godzinę, aby sprowokować Karolinę Brzozę do jeszcze jednego kłamstwa, które z łatwością potrafi obalić, dając jej w ten sposób do zrozumienia, iż może już mówić tylko prawdę, że tylko to jeszcze się jej może opłacić.

I Karolina Brzoza dała się złapać na ten haczyk.

– Nieprawda! – krzyknęła. – Przecież panu już mówiłam, że o tej godzinie Czarnodół wychodził w morze. Więc nie mógł być w żadnym bunkrze. – I powtórzyła z obudzoną na nowo wiarą w moc swoich argumentów. – Nie mógł.

– Nie mógł, ale był.

– Nie mógł być. I nie był!

– I po co te kłamstwa? Wczoraj rozmawiałem z kapitanem „Czajki”... – Zauważył, jak zbladła. – Czarnodół pływa na tym właśnie statku, prawda? – Milczała, więc ciągnął dalej: – Kapitan „Czajki” stwierdził z całą pewnością, że Adam Czarnodół nie stawił się w Szczecinie na pokład. Statek rzeczywiście od nabrzeża odbił o godzinie

piętnastej trzydzieści. No... może z kilkuminutowym opóźnieniem. Czarnodoła jednak na pokładzie nie było. Wszedł na statek dopiero w Świnoujściu. Przybył na kutrze pilotowym. – Znów zrobił pauzę, ale Karolina Brzoza milczała dalej, więc dokończył: – Kapitan powiedział mi, że na Zalewie była trudna sytuacja lodowa. Musieli nawet korzystać z pomocy lodołamacza. W związku z tym przejście do Świnoujścia trwało około pięciu godzin. W tym czasie Adam Czarnodół dotarł tam taksówką. Gdyby to było potrzebne, tego taksówkarza też znajdziemy. Wydałem nawet odpowiednie polecenia.

Nie czekając już na reakcję kobiety, wyszedł z pokoju i pospieszył do gabinetu „starego”. Bez większych przeszkód załatwił zezwolenie prokuratora na przeprowadzenie rewizji w mieszkaniu Karoliny Brzozy i Adama Czarnodoła.

Kiedy ta, jeszcze przed kilku godzinami tak wyzywająco pewna siebie kobieta, otwierała kapitanowi drzwi swego mieszkania, była już zupełnie zrezygnowana.

Kapitan Doliński poprosił przede wszystkim, aby zaprowadziła go do kuchni. Od razu skierował się do szafki koło okna. Otworzył drzwiczki i natychmiast jego spojrzenie zatrzymało się na dwóch pustych butelkach po koniaku „Chevalier”, stojących na samym dole wraz z kilkunastu innymi po różnych sokach, wódce, occie i oliwie.

Postawił je na stole przykrytym ceratą.

– Antosiak! – zawołał sierżanta. – Idźcie do pokoju i zobaczcie w kredensie, jeśli tam jest, albo w czymś takim...

Chwilę później sierżant wrócił z trzecią taką samą butelką, tym razem jednak prawie pełną.

– No i co? – zwrócił się kapitan do Karoliny Brzozy. – I po co było kłamać?

No tak – myślał jednocześnie, to jednak rzeczywiście nie ta klasa co Katarzyna Kabatkowa. Tamta przede wszystkim nie kłamałaby tak głupio i niepotrzebnie. I teraz mogłaby uśmiechnąć się lekceważąco i powiedzieć, że te butelki nic nie znaczą, bo przecież ten koniak przywozi wielu pływających. A na co liczyła Brzoza? Chyba tylko na to, że wróci z komendy i natychmiast usunie to szkło. Nie przewidziała, że będziemy jej towarzyszyli.

– No więc? – ponaglił, gdyż nie było żadnej odpowiedzi.

– Ja nic nie wiem.

– Tamtą butelkę, którą pani widziała u mnie, znaleziono w bunkrze przy ulicy Szczerkowej. To tutaj, w pobliżu. Niemal na wprost wylotu Działkowej. W tym właśnie bunkrze została zamordowana Stefania Pawelec. Uduszono ją.

– Ja nie zabiłam! – Karolina Brzoza zakryła sobie oczy dłońmi.

Nerwy nie wytrzymały wspomnienia tego, co się w starym bunkrze stało w jej obecności.

– Wiem, że nie pani. Zabił Adam Czarnodół. Pani jednak brała w tym udział.

– Nie! – Krzyk już graniczył z histerią. – Nie... nie... ja tylko...

Nogi ugięły się pod nią. Sierżant Antosiak zdążył jednak przysunąć jej taboret. Kapitan Doliński podał szklankę z wodą. Potem zajrzał do pokoju. Właściwie niczego tutaj nie szukał. To, o co mu chodziło, już znalazł. A jednak kusiło go, aby poszperać w tym mieszkaniu. Ulegając tej pokusie, zajrzał bez większego przekonania do kredensu, przerzucił zawartość dwóch szuflad, na koniec otworzył trzydrzwiową szafę. Z lewej strony była bieliźniarka pełna równo poskładanej pościeli i bielizny. Wetknął dłoń pod białą stertę środkowej półki. Trafiał bez pudła. Pod prześcieradłami znalazł zwitek banknotów. Położył je na stole i sięgnął na niższą półkę. Znowu coś jest pod halkami, koszulkami i majtkami.

Kiedy wyciągnął dłoń, trzymał w niej nieduży notes w czarnej plastikowej okładce.

– Nooo... – sapnął głęboko.

Tego nie mógł się spodziewać w najśmielszych nawet marzeniach. Przerzucił kartki. Tak. To był ten zaginiony notes Stefanii Pawelec.

Szybko znalazł ten najważniejszy zapis:

50 000 zł dla Adama C. Obiecuje, że jak odda moją dolę z interesu, będzie dwa razy więcej.

Kapitan Doliński wrócił do kuchni.

Karolina Brzoza zawisła pustym, martwym spojrzeniem na jego dłoni, w której tkwił czarny notes.

A potem zaczęła zeznawać:

– Tak... Adam był jej winien pięćdziesiąt tysięcy.

Tamten interes sprzed roku nie wyszedł mu. Była wpadka... Stracił bardzo dużo, wszystko chyba, co miał... Ona początkowo godziła się poczekać. Ostatnio jednak namotała coś nowego. I potrzebowała pieniędzy. Chciała, żeby Adam jej oddał. Już... Natychmiast. A on nie miał. No... Może i zebrałby tyle, ale nie chciał. Ona nachodziła mnie, bo nie wiedziała, gdzie on mieszka. Ostatnio dzwoniła do przedsiębiorstwa, pytając o niego, kiedy wróci z morza... Więc wystraszył się. Wtedy, tamtego dnia, był u mnie. I ona się zjawiała. Groziła, że sypnie w dyrekcji. A to przecież znaczyło koniec z pływaniem, koniec z dobrymi zarobkami, koniec z interesami. Więc Adam powiedział jej, że dobrze, że może oddać, ale forszę ma u siebie w domu. Kiedy wychodziliśmy, widziałam, że wziął do kieszeni butelkę „Chevaliera”... Ona lubiła popić. Zwłaszcza coś dobrego. Łatwo ją było na to namówić. Ale wtedy nie wiedziałam, co on zamierza. Niczego się jeszcze nie spodziewałam... Na dworze było bardzo zimno. Koło tego bunkra Adam zaproponował, żeby tam łyknąć na rozgrzewkę. I na zgodę, jak powiedział. Pokazał jej tę butelkę. Ona była taka pewna, że już ma te swoje tysiące, że niczego się nie spodziewała. Zresztą ja też. Tylko trochę dziwiłam się, dlaczego nie postawił tego, kielicha u mnie w domu. W bunkrze było ciemno, ale Adam miał latarkę. Najpierw ja wypiałam, potem ona, na końcu on, później znów ja i ona... I wtedy zaszedł ją od tyłu. Chciałam jej bronić, ale tak mnie pchnął...

– Po co właściwie powieźliście ciało na cmentarz?

– Żeby leżało jak najdalej od Działkowej. A poza tym... Na tym, cmentarzu różni tacy się kręcą... Więc żeby to na nich było.

– A ten notes?

– Adam go zabrał i dał mnie, żebym go spaliła. On przecież wychodził w morze i spieszył się na jednostkę. I tak się spóźnił i musiał taksówką aż do Świnoujścia... Bał się zabrać ze sobą. A ja... Ja rzuciłam do szafy... i zapomniałam. I tak zostało...

– No tak... Jedziemy, Antosiak... Dopilnujcie, aby mieszkanie zostało zabezpieczone.

– To znaczy... Jestem aresztowana?

– A jak się pani zdawało?

U siebie w pokoju, jeszcze tego samego dnia, wypisał wnioski o aresztowanie Karoliny Brzozy i Adama Czarnodoła.

Teraz, z wnioskami w dłoni, z dokładnym raportem w różowej teczce wypełnionej papierkami, mógł już pospieszyć do majora Maciejaka.

– Mam sprawcę zabójstwa Stefanii Pawelec – zameldował od progu.

– Pod kluczem?

– Jeszcze nie. Na to trzeba trochę poczekać. Ale będę go miał pod kluczem, jak tylko wróci z morza.